Nr. 1 i 2. Kraków, styczeń i luty 1910. Rok XI.



:: PISMO DLA KOBIET ::
wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:
rocznie . . kor. 1·50 | za granicą . marek 1·50
półrocznie . „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.
W państwie rosyjskiem:
Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

POWITANIE ROKU.

Zawsze ja będę błogosławić ciebie,
O nowa zorzo na pochmurnem niebie
Smętnych okręgów żywota!
Zawsze ja wyjdę na próg naszej chaty.
Pieśnią cię witać, o gościu skrzydlaty,
O jutrznio złota!

Krótką ty jesteś i przelotną chwilką,
Jednym porywem i westchnieniem tylko,
Do przyszłych dni ideału;
Lecz kto zdrętwiały żyć musi w ciemnicy,
Temu jest słońcem jasność błyskawicy,
Moment zapału.

Raz w rok — jak mało! A przecież — jak wiele!
Dłoń mi podajcie, drodzy przyjaciele,
Którzy czujecie wraz ze mną!
Jutrznia, co błyska nad ziemią uśpioną,
Niechaj nie będzie dla ducha straconą,
Ani daremną!

Przez jeden moment tak wiele czuć można!
W płomień wybucha iskierka ta trwożna,
Co w piersi tajemnie tleje...
W sercu się wzmaga na rok cały bicie,
Nowem ogniskiem zajmuje się życie,
Krzewią nadzieje.

Ach, gdyby co rok, przez jedną godzinę
Ludzie się w bratnią łączyli drużynę,
W wspólne ogniwa łańcucha,
I czuli razem swój ból, choć przez chwilę,
Ileżby życiu przybyło na sile,
Na mocy ducha!

Więc zawsze będę błogosławić ciebie,
O nowa zorzo na pochmurnem niebie
Smętnych okręgów żywota!
Zawsze ja wyjdę na próg naszej chaty
Pieśnią cię witać, o gościu skrzydlaty,
O jutrznio złota!

NA NOWY ROK 1910.

Rozpoczynający się rok nowy niesie przypomnienie świetnych, pełnych chwały dni z przeszłości narodu polskiego. W roku tym bowiem mija lat sześćset od przyjścia na świat Kazimierza Wielkiego, lat pięćset od pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem, lat trzysta wreszcie od zwycięstwa odniesionego nad Moskwą, przez hetmana Stanisława Żółkiewskiego w bitwie pod Kłuszynem.

Rok 1310. był błogosławionym dla Polski, w nim bowiem ujrzał światło dzienne jeden z najmędrszych ludzi i najdzielniejszych królów, jakich posiadał naród polski. Kazimierz Wielki, objąwszy w dwadzieścia trzy lat później rządy nad Polską, wyprowadzoną z toni rozbicia przez ojca jego Władysława Łokietka, tak mądrze pokierował jej sprawami, że stała się kwitnącą, bogatą i potężną. On spokojnymi, ale pełnymi rozwagi i stanowczości rządami swoimi, przygotował Polskę do nieuniknionych bojów z przeniewierczym Zakonem krzyżackim i uczynił ją zdolną do odniesienia nad nim wiekopomnego zwycięstwa.

Zwycięstwo to odniesione w czterdzieści lat po zgonie, a w setną rocznicę urodzin Kazimierza Wielkiego, było wynikiem jego mądrych i przewidujących rządów, jego pracy dla dobra ojczyzny.

Przed pięciuset laty nie było zwyczaju święcenia rocznic historycznych, ani rocznic urodzin, chociażby tak bardzo zasłużonych mężów, jak Kazimierz Wielki. Przecież mimowoli uczciło setną rocznicę tych urodzin, rycerstwo polskie na polach Grunwaldu i to uczciło w sposób, który mógł króla Kazimierza napełnić dumą i prawdziwą rozkoszą.

O Krzyżakach i o grunwaldzkiem zwycięstwie niejednokrotnie pisała „Przodownica“*), wiemy więc, że niemiecki Zakon krzyżowy niebacznie sprowadzony w r. 1222. przez księcia mazowieckiego Konrada, przeciw drapieżnym Prusakom, zamieszkującym na północ od Mazowsza brzegi morza Bałtyckiego, wzrósłszy w siłę i potęgę stał się najzaciętszym i najgroźniejszym wrogiem Polski. To też przez cały wiek czternasty walczyli Polacy z Krzyżakami. Król Władysław Łokietek pobił ich pod Płowcami, dnia 27. września 1331. roku i na jakiś czas uspokoił — Kazimierz Wielki zręcznem postępowaniem trzymał ich na wodzy. Po śmierci jednak mądrego króla, Krzyżacy znów trapić Polskę zaczęli. Gdy jednak Jagiełło został królem polskim, a Litwa połączyła się z Polską, przebrała się miara cierpliwości naszego narodu. W roku 1410. postanowiono użyć wszystkich sił, by raz wreszcie stanowczo złamać Krzyżaków. Król Władysław Jagiełło zebrał wielkie wojsko, złożone z Polaków, oraz Litwinów i w lipcu tegoż roku 1410. wkroczył z niem do kraju podlegającego Krzyżakom.

Dnia 15. lipca spotkały się wojska nasze z Krzyżakami na polach wsi Grunwaldu. Krzyżacy przygotowali się dobrze do walki. Czując, że tu idzie o ich istnienie, posprowadzali ze wszystkich krajów europejskich: z Niemiec, Francyi, Anglii, rycerzy ochotników, jakby na jaką wyprawę krzyżową przeciw poganom, uzbroili się we wszelką broń, jaka wówczas istniała, nawet w armaty, które po raz pierwszy na polu bitwy, pojawiły się pod Grunwaldem.

Mimoto ponieśli zupełną klęskę, a Polacy i Litwini, prowadzeni przez miecznika krakowskiego Zyndrama z Maszkowic i brata Jagiełły, wielkiego księcia litewskiego Witołda, okryli się chwałą i zwycięstwem.

Pogrom Krzyżaków był straszliwy. Pięćdziesiąt tysięcy Niemców padło trupem, w ich liczbie wielki Mistrz Krzyżaków Ul-

*) Zeszyt 7. i 8. z r. 1906. str. 109. Zeszyt 6. i 7. z r. 1908. str. 101. i 102.

rich von Jungingen — wszyscy dygnitarze Zakonu, większa część komturów i rycerzy.

Pięćdziesiąt jeden chorągwi, to jest wszystkie, jakie Niemcy w boju rozwinęli, rzucili nasi rycerze pod nogi królewskiego konia.

Armaty, które miały naszych zadziwić i zastraszyć, dostały się w ręce zwycięzców; jak również cały obóz krzyżacki.

Wielki dzień Grunwaldu, dzień 15. lipca 1410. roku, był nietylko zwycięstwem Polski nad Zakonem krzyżackim, ale zarazem zwycięstwem ustroju społecznego, czyli jak teraz modnie nazywają, kultury polskiej, opartej na prawie, sprawiedliwości i wolności, nad kulturą niemiecką, czczącą jedynie potęgę i przemoc fizyczną. Nad kulturą, której hasłem było i jest: siła przed prawem.

Tryumf grunwaldzki odniosła Polska sama, wsparta jedynie przez połączonych z nią świeżo Litwinów. Było to zwycięstwo polskie, nie słowiańskie, jak głoszą to niektórzy teraźniejsi politycy nasi, liczący się więcej z wątpliwym interesem chwili bieżącej, niż z historyczną prawdą.

Jak tryumf grunwaldzki był zwycięstwem ideałów, t. j. dążeń narodowych polskich nad niemieckiemi, tak w roku 1610. dzień 4. lipca na Kłuszynu polach był zwycięstwem męstwa, wolności i oświaty polskiej nad ciemnotą i niewolnictwem moskiewskiego narodu.

Niezwykłe, cudowne niemal było to kłuszyńskie zwycięstwo. Dnia 4. lipca 1610. r. stanęło pod Kłuszynem do boju pięćdziesiąt tysięcy blisko Moskali i Szwedów z czterdziestu armatami, „garłaczami z piekła", jak je nazwał sam wódz moskiewski Dymitr Szujski, przeciwko niespełna dziesięciu tysiącom jazdy polskiej, prowadzonej przez hetmana wielkiego koronnego, Stanisława Żółkiewskiego. Sędziwy wódz polski, znając męstwo swoich żołnierzy, nie zawahał się ani chwili i uderzył na tłumy nieprzyjaciół, pewny zwycięstwa. Przodem pchnął chorągwie lekkiej jazdy, a gdy te, przedarłszy się przez szeregi nieprzyjacielskie, sprawiły w nich zamęt – posłał do ataku husarzy, którzy wpadłszy jak grom na wroga, rozbili w puch jego zastępy.

Rozgromiony nieprzyjaciel nie zatrzymał się, aż pod murami miasta Moskwy, pod które podstąpiwszy zwycięski hetman, zmusił Moskali do wydania mu cara Wasyla, wraz z braćmi jego i powiódł do Warszawy, gdzie oddał go królowi Zygmuntowi i Rzeczypospolitej.

Oto świetne rocznice, które święcić mamy w rozpoczynającym się Nowym Roku, by w blasku ich ogrzać się i zaczerpnąć sił do ciężkiej walki, na jaką obecnie skazanym jest nasz naród, do walki, która powinna i musi się naszem skończyć zwycięstwem.

Inż. Eustachy Śmiałowski.

Alboż my to jacy-tacy.

Alboż my to jacy-tacy
Z Wielkopolski my Polacy,
Z pod Kruszwicy i Poznania
Wielkopolska straż.

Bronim ziemi, bronim mowy,
Służym czynem, a nie słowy,
Kto tu wrogom myśl swą skłamie
Zbliżyć się nie waż.

Alboż my to jacy-tacy!
Z pod Wrocławia my Ślązacy
Nie zniemczony, obudzony
Z snu długiego lud.

Dzielnie w walce z wrogiem trwamy,
Ślązka zabić mu nie damy,
Choć na kupno szle miliony,
Próżny jego trud!

Alboż my to jacy-tacy
Myśmy od Piastów Polacy,
Co Ojczyznę w sercu noszą
I nie dadzą zginąć Jej...

Ni Hetmanów nam ni Królów
Lecz moc rośnie w pośród bolów,
Darmo zbóje śmierć nam głoszą
Zwyciężymy w doli złej.

Jadwiga S.

POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Unia Lubelska.

Prace sejmu lubelskiego trwały długo, od 23. grudnia 1568. do dnia 12. sierpnia 1569. roku; pozostawało bowiem jeszcze wiele trudności do usunięcia, tembardziej gdy chodziło o to, ażeby ostateczne zjednoczenie Litwy z Koroną uchwalono nie samą większością głosów, ale jednomyślnie, za powszechną zgodą wszystkich sejmujących. Uzyskanie takiej jednomyślności nawet w małych, mniej ważnych sprawach, było i jest do dziś dnia, rzeczą nader trudną, nie mogło więc być łatwem w tak ważnej i doniosłej sprawie, zwłaszcza gdy załatwienie jej sprzeciwiało się w wysokim stopniu interesom możnych rodów litewskich, które pomimo wprowadzenia zwyczajów polskich, wciąż jeszcze rej wodziły na Litwie i resztę szlachty świeżo, bo dopiero od r. 1413. istniejącej, uważały za podlegającą ich władzy. Jednocząc się z Polską ostatecznie i nieodwołalnie, rody te musiały się wyrzec wszystkich swoich przywilei, t. j. szczególnych uprawnień i uznać równe prawo, jednakowe dla całego rycerskiego stanu, jakie w Polsce obowiązywało, gdzie wówczas przysłowie: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“ było rzeczywistą prawdą. Takie zrównanie się z ogółem, nie uśmiechało się wcale litewskim wielmożom, Radziwiłłom, Ostrogskim, Sapiehom, Chodkiewiczom, Koryatowiczom i wielu, wielu innym. To też tem większe należy im się uznanie, że ostatecznie, przenosząc dobro ojczyzny nad swoje prywatne rodowe, złożyli swe przywileje na ołtarzu dobra publicznego, idąc za przykładem króla Zygmunta Augusta, który zrzekł się uroczyście dziedzictwa Litwy.

Tak po ośmiu miesięcznych obradach, w sierpniu 1569. roku, uzyskano jednomyślną zgodę na ostateczne zjednoczenie Litwy z Polską.

Dnia 12. sierpnia podpisano i zaprzysiężono uroczyście jednomyślną uchwałę, mocą której narody polski i litewski łączyły się ze sobą jako „równi z równymi i wolni z wolnymi“ na wieczne czasy w jedną i nierozdzielną Rzeczpospolitą polską. Uchwała ta odnosiła się także zarówno do województw pruskich, których posłowie mieli odtąd stale zasiadać w sejmach Rzeczypospolitej, jakoteż do Rusi, należącej już oddawna do Polski. Nie było wówczas w Polsce „kwestyi ruskiej“, ówcześni bowiem Rusini uważali się sami za takich Polaków jak Mazurzy, Kujawiacy, lub Krakowiacy, a połączenie się Rusi z Polską za powrót na łono dawnej, wspólnej ojczyzny.

Rzeczpospolita polska, wspólna odtąd matka „obu narodów“, litewskiego i polskiego, składała się z Korony i wielkiego Księstwa Litewskiego. Korona dzieliła się na dwie prowincye: Wielkopolskę i Małopolskę. Do Wielkopolski należały województwa: pomorskie z Gdańskiem, malborskie z księstwem warmińskiem, chełmińskie, poznańskie, gnieźnieńskie, kaliskie, sieradzkie, łęczyckie, brzesko-kujawskie, inowrocławskie z ziemią dobrzyńską, mazowieckie, płockie i rawskie. Do Małopolskiej liczyły się województwa: Krakowskie, sandomierskie, lubelskie, podlaskie, ruskie (lwowskie), bełzkie, wołyńskie, podolskie, bracławskie, kijowskie i czernichowskie.

Litwa nie dzieliła się na prowincye, lecz wprost na województwa: wileńskie, trockie, żmudzkie, nowogrodzkie, brzesko-litewskie mińskie, mścisławskie, witebskie, połockie i smoleńskie.

Nadto Inflanty, t. j. województwa: in-

flanckie, wendeńskie, parnawskie i dorpackie, należały wspólnie do Korony i Litwy.

Rzeczpospolita polska jedna i nierozdzielna, miała na czele króla obieranego przez naród i wspólny rząd złożony z ministrów osobnych dla Korony i Litwy. Ministrami tymi byli: Kanclerz wielki koronny, Kanclerz wielki litewski, dwóch Podkanclerzy: koronny i litewski, hetman wielki koronny i takiż hetman litewski, dwaj hetmani polni: koronny i litewski. Dwaj podskarbiowie: koronny i litewski. Dwaj marszałkowie wielcy: koronny i litewski. Wreszcie dwaj marszałkowie nadworni koronny i litewski.

Urzędy dworskie królewskie były także podwójne, osobne dla Litwy i dla Korony.

Sejmy odbywały się wspólnie dla całej Rzeczypospolitej. Zwyczajne co lat dwa, naprzemian w Warszawie i Grodnie. Nadzwyczajne w tem z tych dwu miast, na które właśnie przypadała kolej.

Unia lubelska, która zjednoczywszy ostatecznie wszystkie ziemie Rzeczypospolitej w jedną, nierozdzielną całość, powróciła Rusinów na łono polskiej ojczyzny, a zarazem zbratała i skojarzyła dwa dawniej obce, nieraz nawet wrogie sobie narody: litewski i polski, była najświetniejszym czynem króla Zygmunta Augusta, koroną jego prac, usiłowań i poświęceń dla dobra tak bardzo przez niego umiłowanej ojczyzny, a zarazem wspaniałem, jedynem w dziejach zbrataniem się szczerem i dobrowolnem narodów w imię hasła: „równi z równymi, wolni z wolnymi".

Zarówno to haslo, tak wyłącznie nasze, polskie, jak i to zbratanie przynosi nieśmiertelną chwałę wszystkim, którzy przyczynili się do ich urzeczywistnienia, opromieniając zarazem dzieje narodu naszego niezrównanym blaskiem.

Inż. E. Śmiałowski.

KILKA UWAG W SPRAWIE MIESZKAŃ.

Jedną z najważniejszych stron hygieny osobistej jest sprawa zdrowotnych warunków mieszkania. Hygieniści słusznie twierdzą, że mieszkanie wtedy tylko czyni zadość wymaganiom zdrowotnym, jeżeli jest widne, t. j. ma dużo światła, jeżeli ma dostateczną ilość powietrza, a powietrze zawarte w nim jest suche i czyste.

Niedostateczne oświetlenie mieszkania głównie szkodzi dzieciom. Dzieci są tedy małokrwiste, łatwiej podlegają rozmaitym chorobom, a kości ich niedostatecznie rozwijają się, następstwem czego bywa często tak zwana angielska choroba.

Szczególniej w szkołach powinien być uwzględniony dostateczny dostęp światła; statystyka bowiem nad wzrokiem dzieci szkolnych wykazuje znaczny procent krótkowidzących.

Wielkość okien oczywiście wpływa na mniejszy lub większy dopływ światła; im większe okna, tem widniejsze mieszkanie z oknami wychodzącemi na południe, południowschód i południowo-zachód są zdrowsze niż te, których okna skierowane są na północ, gdyż te ostatnie są pozbawione promieni słonecznych.

W mieszkaniach, gdzie domy kilkopiętrowe oddzielone są wązkiemi ulicami, lub małemi podwórzami, dostęp światła do mieszkania jest bardzo ograniczony. Ilość tę ograniczamy jeszcze przez zasłanianie i ozdabianie okien ciemnemi zasłonami które w oknie pozostawiają zaledwie trójkącik wolny, niezakryty.

Mieszkanie, które jest tak ubogie w światło naturalne, że trzeba je nawet w dzień sztucznie oświecać, jest dla zdrowia wprost zabójcze! Każde sztuczne źródło światła ujemnie wpływa na wzrok, psuje zawartość

powietrza i nie ma tej siły leczniczej, jak naturalne światło słoneczne.

Powietrze w pokoju psuje się:

1) przez samo oddychanie ludzi i zwierząt, jeżeli te znajdują się w tym samym pokoju. Tlen zawarty w pokoju zostaje wdychanym przez płuca i przez nie zużytym a powietrze napełnia się wydychanym przez ludzi, szkodliwym dwutlenkiem węgla (kwasem węglowym).

2) Podczas palenia powietrze psuje się przez zużycie tlenu z powietrza, następnie:

3) przez tworzenie się drobnego pyłu-kurzu, który zostaje zawieszony w powietrzu i wraz z niem przedostaje się do dróg oddechowych.

4) przez rozmaite wyziewy ludzkie, jak n. p. pocenie się.

Dłuższe przebywanie w tak zepsutem powietrzu powoduje bóle głowy, brak apetytu, ogólne znużenie i wyczerpanie. Pokój musi więc być odpowiednio duży, aby zawarta w tej przestrzeni ilość powietrza wystarczała do podtrzymywania oddychania. Obliczono, że objętość sypialnego pokoju dla jednej osoby powinna wynosić 20 metrów sześciennych, (28 sześciennych arszynów), to znaczy, że sypialnia dla rodziny, składającej się z rodziców i trojga dzieci, powinna mieć objętości około 100 metrów czyli mieć 6. metrów długości, 4. m. szerokości i 4. metry wysokości.

Jednak w największym pokoju musi nastąpić odnawianie zawartego w niem powietrza (wentylacya). Ustawiczne odnawianie odbywa się przez ściany domu, przez podłogę i sufit, przez szpary w oknach i drzwiach, a najwięcej przez palenie w piecu, o ile drzwiczki pieca znajdują się w tym pokoju.

To będzie przewiew naturalny. Ale ten przewiew nie wystarcza, aby zepsute powietrze w krótkim czasie zupełnie się odnowiło.

Najprostszym i najenergiczniejszym sposobem odnawiania powietrza jest otwieranie okien.

Powietrze z zewnątrz napływa przez otwarte okna tem szybciej, im jest większa różnica pomiędzy temperaturą powietrza z zewnątrz, a temperaturą w pokoju; dlatego to najskuteczniej przewiewa się stancyę zimą, jeżeli się otwiera okna podczas napalenia w piecu, lub jeszcze szybciej, otwierając okna po napaleniu, wtedy wystarczy kilka minut, aby powietrze w pokoju odnowić.

Najszybciej osiągniemy odnawianie powietrza, gdy jednocześnie otwieramy okna przeciwległe lub okna i drzwi, wskutek czego powstaje chwilowy przewiew, czyli przeciąg.

Mieszkanie należy przewietrzać także i dlatego, aby zapobiedz nagromadzeniu się w pokoju kurzu, tak dla zdrowia szkodliwego.

Kurz powstaje z nagromadzenia się rozmaitych cząsteczek, które odrywają się od otaczających nas przedmiotów, jako to: cząsteczek metalów, kamieni, ziemi, śmieci, sadzy, ubrania, roślin, z wnętrza fabryk, warsztatów, stajni, ulic, z kominów i t. p. Prócz tych martwych cząsteczek zawiera kurz i mikroskopijnie małe, żywe zwierzątka i rośliny, które pochodzą z chorych ludzi i zwierząt.

Kurz składa się więc z cząsteczek martwych i żywych.

Martwe cząsteczki ostremi końcami kaleczą błony śluzowe w nosie i płucach; wskutek tego skaleczenia, żywe zarodki mają możność wdzierania się głębiej w ranki i wywoływania tam rozmaitych zapaleń.

Organizm nasz do pewnego stopnia broni się przed kurzem. Kanały oddechowe zawierają śluz i pokryte są włoskami (komórki śluzowe i migawkowe) które drgają, poruszają się w kierunku z płuc ku ustom. Kurz, który wpadł do organów oddechowych, zostaje otoczony śluzem i przez poruszanie się włosków odprowadzony ku ustom.

W dostatecznie czystem powietrzu wystarcza ta naturalna ochrona organizmu, aby płuca bronić przed kurzem. Powietrze miej-

skie jednak zawiera najczęściej taką moc pyłu węglowego, sadzy i innych zanieczyszczeń, że drogi oddechowe nie są już w stanie dostatecznie bronić przystępu do płuc i dlatego to płuca człowieka miejskiego, z różowych pierwotnie, stają się prawie czarne.

Zupełnie jednak bezbronne są komórki śluzowe i migawkowe, jeżeli chodzi o nagromadzony pył w fabrykach i warsztatach. Płuca zajętych tam robotników są wciąż kaleczone przez pył nieorganiczny i żywe organiczne zarodki mają wtedy łatwy dostęp do płuc.

Pomiędzy zarodkami unoszącymi się w powietrzu, najczęstsze i zarazem najniebezpieczniejsze dla człowieka są zarodki tuberkuliczne, powodujące suchoty; dlatego to suchoty najczęściej grasują pomiędzy robotnikami.

Przez odpowiednie urządzenia w fabrykach, możnaby uniknąć takiego nagromadzenia kurzu, lecz niestety w tym kierunku dotąd, szczególniej u nas, tak niewiele się robi!

Zanadto przywykli ludzie lekceważyć cierpienia innych, i dlatego spokojnie przypatrują się, jak tłumy robotników i robotnic większą część doby spędzają w atmosferze pylnej i padają ofiarą suchot i innych chorób groźnych. Smutne też jest i to, że i w szkołach powietrze bywa tak zapylone, zanieczyszczone. Odbija się to na zdrowiu dzieci powierzonych opiece szkolnej; to też znaczna część dzieci choruje na zapalenie oczne i płucne, oraz na suchoty płucne, a więc na choroby spowodowane przez pył.

Przedewszystkiem jednak i w prywatnych mieszkaniach, które stosunkowo bywają najczyściej utrzymywane, przestrzega się za mało, aby kurz się nie nagromadzał.

Zwykle mamy w mieszkaniach za dużo rzeczy Przekonano się, że światło słoneczne zabija zarodki, oczyszcza więc powietrze od żywych, t. j. najszkodliwszych części kurzu.

ROK 1863.

Ponad borów, nad gęstwiną,
Łuną błysnął krwawo-siną,
Rykiem zawył lwim wichury,
I z brzemiennej, czarnej chmury,
Gradami sypnął kul!
Za kratą ryknął zwierz, swobody król.
Oszczepem dźgan, stal skruszył i kły szczerzy:
To rok — Miatieży!

Wir się zerwał skier, kurzawy.
Od zdeptanej, od Warszawy,
I jak dzikie mkną orkany,
Po przez bory, po przez łany,
Z piorunem przemknął burz.
Nadziei przed nim błysk, krwi za nim kurz,
Szubienic łańcuch i ból rany świeżej:
To rok — Miatieży!

Klęsk ty roku i rozgromu,
Brań ców wleczonych z domu,
Piskląt, co je zdławił Herod,
Trupów roku, wdów i sierót,
Twych pożog chłonę dym,
I twej rozpaczy klnę, i szałom twym!
Żeś był i wrzał i przebrzmiał... duch nie wierzy:
Roku — Miatieży!

Ofiar roku ty i czynów,
Matek rzymskich, bitnych synów,
Cór, nie rozmarzonych czule,
Lecz garnących proch i kule...
Jać wielbię, roku mój!
Do nagich padam stóp, co biegły w bój,
Całuję pięść, co w pierś Kolosu mierzy:
W roku — Miatieży!

Aureli Urbański.

CĄBER.

Z młodych ludzi możeby się bardzo mało znalazło takich, którzyby umieli bliżej określić znaczenie słowa „cąber“; jedynie starsi ludzie, którzy pamiętają jeszcze sielskie czasy, gdy to po naszych górnośląskich chatach w zimie wieczorami warczały kołowrotki tocząc cienką przędzę z lnu, mogliby nam wytłómaczyć znaczenie słowa „cąber“. Posłuchajmy, co o tem opowiadają starzy ludzie:

Zabawy zapustne, znane dzisiaj u nas jedynie pod nazwą „karnawałów“, dawniej zwały się „cąbrem“.

„Cąber“ był niejako zakończeniem prac zimowych, podobnie jak np. nasze dożynki są obchodem na zakończenie żniw. Właściwe znaczenie słowa „cąber“ było jednak inne. W zimie, począwszy od Gód, schodziły się wieczorami dziewczęta z całej wsi u jednego z bogatszych gospodarzy na „przędzę“. Każdy gospodarz na żniwa sprzątnął także niemało lnu, a rzeczą córek jego było len ów przerobić na płótno. Długie wieczory najlepiej nadawały się do takiego zajęcia, boć to praca choć żmudna, ale nie trudna i można ją sobie uprzyjemnić śpiewem, pogawędką i opowiadaniami. Dziewczęta schodziły się więc w tym celu w domu jednego z bogatszych gospodarzy, który posiadał większą izbę; wśród śpiewu, opowiadań i wesołych śmiechów słyszeć tam wtedy można było aż do późna w noc warczenie kołowrotków. A każda, zwłaszcza jeżeli miała wielki zapas lnu, spieszyła się gorączkowo, ażeby na zapusty wszystek len już był sprzędzony, bo jeżeli się nie pospieszyła i pozostało jej jeszcze wiele lnu, nie mogła uczestniczyć w „cąbrze“. Ów „cąber„ był więc niejako wesołem zakończeniem tej pracy. W dniu tym, t. j. w ostatnią niedzielę zapustną zbieraly się dziewczęta w chacie, w której zwykle się schodziły wieczorami „na prządki“. Za niemi sunęli chłopcy, których przy takiej okazyi brakować nie było powinno, no — i nigdy nie brakowało. Kapela wiejska, złożona z pięciu albo czterech muzykantów, czekała już tymczasem na swojem stanowisku i na rozpoczęcie „cąbra“ zagrała od ucha jakiegoś znanego marsza, że aż szyby w małych oknach drżały.

Niebawem rozpoczynała się uczta, na którą się składały placki i wino, poczem młodzież rzuciła się do tańców, bawiąc się ochoczo, swawolnie, aż do rana.

Tak wyglądał „cąber“ jeszcze przed 30-tu laty!

Także i starsze kobiety odbywały swoją zabawę zapustną, którą również nazwały „cąbrem“; często słyszy się u nas wyraz „cąber babski“, i w tych razach oznacza się temi słowami tylko zabawę karnawałową, urządzaną przez mężatki. Wszystkie młode kobiety we wsi, które w poprzednim roku wstąpiły w stan małżeński, musiały się zająć urządzeniem tego „cąbra“ i zaprosić na zabawę wszystkie starsze mężatki z całej wsi. Dzisiaj i ten zwyczaj zanikł już — przynajmniej u nas zupełnie, i pozostała tylko nazwa.

SZTANDAR.

Po krótkim boju i pobiciu wroga,
Około dworu szła powstańców droga.
Wybiegła pani, wioski tej dziedzica,
Gorączką uczuć palą się jej lica,
Wiedzie za rękę wysmukłe pacholę,
A gdy nadjechał wódz, tak mu powiada:
„I jabym z krwi mej ofiarę dać rada;
Na waszą wolę i na Bożą wolę
Zdaję tu syna!“ — Więc wódz na to: „Szkoda!
Jeszcze mi trochę chłopczyna za młoda“.
— „Nie mam starszego“ — rzekła pani smutnie:
A chłopak stanął i ostro i butnie,
I łza się kręci i iskrzą się oczy,
Więc po jagodach łza się matce stoczy,
A wódz powiada: — „Rozumiem, rozumiem,
I choć dziś z wami zapłakać nie umiem,

Bo opłakałem tej ziemi rozpacze,
I odkąd oręż podjąłem, nie płaczę..,
Ale pojmuję, co cię matko boli
I ciebie chłopcze, że nie chcesz niewoli.
Więc matko Polko, niech Bóg płaci z nieba!
Nam trzeba stanąć dziś jeszcze daleko,
Za siódmą wioską i za drugą rzeką;
Dałaś mi syna, daj mym ludziom chleba.
Jego pożegnaj a mnie podaj rękę,
I w imię Matki Polski weź podziękę".
I ruszył orszak po krótkim spoczynku.
Syn wziął spłakaną chustkę w upominku,
I gdy się spostrzegł, do wodza powiada:
— „To chuska matki!" — „Ha to weź ją z sobą
Niech ci opieką będzie i ozdobą!"
I rozpiął chłopcu kurtkę i sam złożył
Chustkę na sercu, i dzieciuch ochoczy
Już ani płakał, ani się nie trwożył,
Lecz jako w tęczę patrzył w wodza oczy.
„Most mi ten zerwać i bronić przeprawy!"
Skoczyli chłopcy, pozrywale dyle,
Razem z pierwszymi skoczy dzieciuch żwawy,
I poszedł w ogień. Strzelcy stoją w sile
I bronią mostu. Wtem chłopczyna pada
Tuż u stóp wodza i mienią się oczy;
Lecz ku wodzowi twarz zwrócona blada,
Choć krwi rumianej zdrój się z piersi toczy.
Wódz go poderwał, a on mu powiada:
— „Ha, niechaj chustka matki nie przepada!"
Więc go zrozumiał, dobył chustkę żwawo,
Ale już była napół prawie krwawą.

— „Hej! ktoś mi mówił, nie mamy sztandaru,
Oto jest sztandar z łez i ze krwi daru!
Ha! to wasz sztandar biali i czerwoni!
Za łzami matki, syna krew w pogoni.
Oto wasz sztandar i przy tym sztandarze,
Bóg wam stać każe i ja wam stać każę!"

Chłopak na ziemi pięknie się uśmiechał,
Ostatniem czuciem Polaka oddychał,
I w ręku wodza skonał niby święty...
I stał wódz nad nim żałością przejęty.
I rzekł po chwili: — „Pochować poczciwie!
O! matko Polko! coś żegnała tkliwie
Syna twojego, tybyś tu umarła,
Albo na wieki łzy, jak ja, otarła".

Wincenty Pol.

POPIELEC

13 lutego 1241 roku!..

Czyżeśmy to mało przeboleli?

Co kartkę z historyi naszej obrócimy — to wychyli się ku nam jakieś krwawe widmo walk z wrogami. Co nachylimy ucho ku słuchaniu wspomnień czerpanych z lat dawnych, to doleci nas jakoby jęk bólu i grom walk srogich.

Albośmy to mało przewalczyli?

Oto popatrzmy w gawędy dziejowe...

Jakaż data?...

Na Sandomierz sunie czerń straszna okropna, dzika, czerń tatarska rwąca się ku nam, jak owa rzeka, która z brzegów wystąpi, a pola chce zalać.

Idą, idą Tatarzy...

Palą się już lasy — płoną wsie ubogie — w popiół obracają miasta.

W Sandomierzu na zamku młody król Bolesław słucha z trwogą o zbliżającej się burzy, a królowa w modlitwie szuka pociechy.

Młode to jeszcze państwo. On ma lat 20, a pani, cudna królowa Kinga, 17 rok zaczęła. Dwa lata już po ich weselu, a żyją jak brat z siostrą, bo to i nieśmiałe i ciche, a modłom oddane

Matka króla, Grzymisława — czuwa nad wieściami, które do zamku dochodzą, i wreszcie poznaje, iż tu niebezpiecznie zostawać.

— Synu mój! — rzeknie do króla — namby do Krakowa. Zawsze tam bezpieczniej i pewniej, dzicz się wali, przyjdą tu — gdzież się ukryjecie?..

— Już mi to wojewoda radził — jużem myślał... trzeba jechać.

I pojechało młode królestwo do Krakowa, wraz z matką Grzymisławą, a w parę dni po tem — płonął Sandomierz straszną łuną...

Tatarzy wpadli w sam popielec — mia-

sto zdobyli, spalili, zniszczyli, bez skry litości...

Wtedy to i wyrznęli wszystkich zakonników Cystersów, razem z ogromną liczbą niewiast, dzieci, szlachty i ludu tam zgromadzonego...

Sandomierz już nigdy nie wrócił do dawnej świetności, a Królestwo mieszkali odtąd w Krakowie.

Smutny popielec roku 1241 — ale gdybyśmy mogli zebrać daty wszystkich lat popielca — kto wie — ileby się znalazło bez łuny pożaru, bez jęku mordowanych, bez krwi przelewu!...

Albożeśmy to mało przecierpieli?

Jadwiga z Z. S.

POPIOŁEM...

Popiołem — jesteśmy.
Popiołem będziemy...
Jeśli po nad ziemię
Duchem nie spłyniemy,
Jeśli nie wykwitnie
W życiu naszem cnota —
Jeśli nie zaświeci
Wiary gwiazda złota.

Popiołem jesteśmy —
Gdyśmy ludźmi z ciała,
Jeśli się w nas duszy
Iskra nie roztlała.
Jeśli tyle życia
Widzimy w około
Ile nam da „dzisiaj“
Spędzone wesoło.

Popiołem — jesteśmy!...
A przecież — duch Boga
Mieszka w tym popiele
Jako perła droga...
I ten duch nas wznosi
Nad wszystkie stworzenia.
On — uczczony życiem
W Anioły — proch zmienia!

Jadwiga S.

Jak przygotować umysł dziecka do nauki szkolnej.

Wiemy już z poprzedniej pogadanki, że bogactwo umysłu dziecka stanowią wyobrażenia czyli obrazy osób i rzeczy, jakie je otaczają. Jest to materyał, z którego powstaje budowa. Aby budowa dobrą była, nie dosyć nagromadzić dużo materyału, ale trzeba dbać, aby był jak najlepszym. Chcąc więc, aby umysł dziecka miał z czego wznosić wielki i piękny gmach poznania, trzeba mu ułatwić gromadzenie doskonałego materyału, tj. dokładnych wyobrażeń, z których powstać mają jasne pojęcia.

Jakże tu postępować?

Dziecko samo pracę wychowawcom ułatwia i niejako wskazuje jej kierunek. Maleńkie rozgląda się ciekawie, starsze pyta. Idźmy więc za tą wskazówką — pokazujmy i na pytania odpowiadajmy cierpliwie.

Pokazujmy dziecku najprzód przedmioty z najbliższego otoczenia i nazywajmy je. Dziecko kilkomiesięczne, nie umiejące jeszcze wymawiać nawet wyrazu „mama“, już mowę starszych rozumie, ogląda się: a potem pokazuje rączką na wymieniane przedmioty. Każdy dzień przynosi postęp, dorzuca jakąś nową cegiełkę do budowy poznania w maleńkiej główce. Im dziecko starsze, tem dokładniej trzeba je uczyć, aby umiało patrzeć tj. jakby chwytać okiem obrazy otaczających je przedmiotów. Podobnie uczmy je słuchać — czuć i smakować.

Kiedy już umie pokazać a nawet nazwać przedmioty — po swojemu — uczmy je co duże, co małe, co okrągłe, co graniaste, czy kanciaste — uczmy poznawać barwy, rozróżniać co twarde, co miękkie, co gładkie, co szorstkie, co kwaśne, co słodkie i t. p. Nauka niema się odbywać jak w szkole na lekcyi, ale obcując z dzieckiem, bawiąc je, korzystajmy z każdej sposobności, a jeśli

możemy, dobierzmy odpowiednie zabawki i przedmioty, któreby naukę ułatwiły. Sławny pedagog Froebel stworzył cały sposób nauczania przedszkolnego, warto, aby go matki, siostry starsze, niańki, wogóle osoby, wychowujące dzieci, poznały. Zasadą nauki Froebla jest właśnie rozwijanie umysłu dziecka zapomocą pokazywania mu rozmaitych przedmiotów, następnie uczenie rozmaitych robót ręcznych jak wyplatania, wykłówania, wyszywania, pracy w ogródku, zabaw ruchomych i śpiewu. Niejedna matka i bez znajomości metody Froebla potrafi dziecka umysłem kierować dobrze — potrzeba na to tylko być rozsądną i cierpliwą.

Jedne matki, zajęte bardzo gospodarstwem rade gdy nakarmią i odzieją maleństwo, nie mają czasu na bawienie się z niem, na rozmowę. Inne nudzą pytania dziecka, ofukną nieraz biedactwo, gdy pyta szczebiocąc: mamusiu cio to? Dzieci żywe z natury, ofuknięte przez niecierpliwą mamę lub zostawione same sobie, radzą sobie jak mogą. Pytają inne osoby, doświadczają wreszcie i wnet dowiedzą się, że ogień parzy, a noga u stołu twarda, można guza o nią nabić. Dochodzą do poznania drogą doświadczenia, najwłaściwszą co prawda, ale czasem zbyt drogo opłaconą. Dzieci z natury ospale, jeżeli nikt się niemi nie zajmuje, rozwijają się bardzo powoli i w szkole nie mogą dorównać innym.

Jest też dużo matek zbyt gorliwych, któreby chciały uczynić swoje maleństwa co prędzej mądremi, zasypuje je więc zabawkami, obrazkami, zamęczają wyuczaniem wierszy, piosenek, prowadzą do kinetonu, do cyrku, nawet do teatru. Tym sposobem wychowają sztuczną cieplarnianą roślinkę, która rozkwita prędko i prędko więdnie. Dziecko przemęczone rozwija się zrazu nadzwyczajnie, zadziwia wszystkich swojemi wiadomościami, ale z biegiem czasu staje się coraz mniej pojętne, tępieje. W szkole można takie zjawiska bardzo często obserwować, a powszechnie jest wiadome. że z cudownych dzieci wyrastają bardzo mierni ludzie, albo też dzieci zbyt mądre „nie chowają się“, siły ciała nie mogą podołać zbyt forsownemu rozwojowi umysłu i śmierć niweczy nadzieje rodziców.

Powtarzam: rozsądek i cierpliwość to najlepsi doradcy młodej matki. Nie każą one do zbytku obdarzać dziecko zabawkami, a polecają dawać zabawki jak najprostsze. Dla maleńkiego dziecka zabawki gumowe lub z materyi miękkich, aby się nie okaleczyło, lub farbą zlizaną nie otruło, są odpowiednie. Dla starszych klocki drewniane posłużą do pouczania o wielkości i kształcie, a dadzą miłe zajęcie, bo z nich budować można. Zwierzęta z drzewa lub malowane. obrazki przedstawiające zajęcia np. rolnika, kowala, kucharki i t. p. są przedmiotem długich rozmówek, zajmujących i pouczających. Kawałki kolorowego papieru lub włóczki, posłużą do wyuczenia poznawania kolorów.

Niezmiernie korzystnie jest dla dziecka jeżeli osoba wychowująca je, ułoży sobie pewien plan postępowania i tak zabawki, jak obrazki dobiera do celu, jaki sobie naznaczyła. Wogóle uważać trzeba, aby dziecko zbyt często zabawek nie zmieniało, a obrazki oglądało dokładnie. Jeżeli uważamy, że zabawką lub obrazkiem jest znudzone, usuńmy je, schowajmy na jakiś czas a potem znowu pokażmy, ucieszy się jak nową. Rzecz, którą dziecko ma poznać, musi je zajmować, musi sprawiać mu przyjemność, inaczej odwróci się i na nic nasze starania. Bardzo często zauważyć można, że obrazek jakiś, czy to zabawka zrazu nie zajmowała, po jakimś jednak czasie stała się ulubioną dziecku. Dowodzi to, że zrazu nie rozumiał jej, nie dorosło do niej; w tym naturalnym instynkcie dzieci jest dla wychowawców doskonała wskazówka, aby nie narzucać maleńkiej główce zbyt trudnych rzeczy do pojęcia. Mieszkanie dziecka dostarcza bardzo wiele przedmiotów do rozwijania umysłu, ale nierównie więcej przechadzka, zabawa na wolnem powietrzu, na wsi, w ogrodzie.

w lesie. Ileż tu nowych przedmiotów, ile życia! Nigdy, nigdy nie zbywajmy na przechadzce pytającego dziecka odpychającem: „Daj mi spokój — nie nudź!" To grzech przeciw tej młodej budzącej się duszyczce, którą mamy w opiece. Radość jaka świeci z błyszczących oczek, które przypatrują się nieznanym dotąd kwiatom, obserwują mrówkę, podziwiają zachodzące słońce, wynagrodzi nam chyba trud rozmowy, stanie za przyjemność oglądania modnych kapeluszy i sukien przechadzających się dam! Tylko chcąc uczyć patrzeć, trzeba samemu znać i kochać naturę. Zerwie dziecko kwiatek, nauczmy je jego nazwy, naprowadźmy, aby poznało jego barwę, jego układ, a powiedzmy, jeśli główka mała już to pojmie, na co roślinka oglądana przydatna. Dziecko miejskie, kiedy może jakiś czas przepędzić na wsi, niech pozna tutaj swoje najbliższe otoczenie — chatę, sprzęty wiejskie, narzędzia rolnicze, zwierzęta domowe, pracę gospodarza-rolnika. Niech nic nie ujdzie jego oka, nic nie będzie mu obojętnem.

W ten sposób rozwijany umysł będzie w życiu i w szkole bogacił się wszystkiem, co ku pożytkowi jego istnieje. Otwarte oko dziecka niby pszczółka miód z kwiatów z otoczenia zbierać będzie skarby, gromadzić cegiełki, a szkoła dopomoże w dalszej pracy nad zdobyciem wykształcenia i nauki.

C. d. n.

DO MATKI POLKI.

O! matko Polko! gdy u syna twego,
W źrenicach błyszczy geniuszu świetność;
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego,
Dawnych Polaków duma i szlachetność;

Jeśli, rzuciwszy rówienników grono,
Do starca bieży, co mu dumy pieje;
Jeżeli słucha z głową pochyloną,
Kiedy mu przodków powiadają dzieje;

O! matko Polko! źle się syn twój bawi...
Klęknij przed Matki Bolesnej obrazem,
I na miecz patrzaj, co Jej serce krwawi:
Takim wróg piersi twe przeszyje razem!

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania:
Syn twój wyzwany do boju bez chwały,
I do męczeństwa bez zmartwychpowstania!

Każe mu wcześnie w jaskinię samotną
Iść na dumanie, zalegać rogoże,
Oddychać parą zgniłą i wilgotną,
I z jadowitym gadem dzielić łoże.

Tam się nauczy pod ziemię kryć z gniewem,
I być jak otchłań w myśli niedościgły;
Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem,
Postać mieć skromną, jako wąż wystygły.

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił:
O! matko Polko! jabym twoje dziecię,
Przyszłemi jego zabawkami bawił.

Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się spłonił na widok powroza.

Bo on nie pójdzie, jak dawni rycerze
Utkwić zwycięski krzyż w Jeruzalemie;
Albo jak świata nowego żołnierze
Na wolność orać, krwią polewać ziemię.

Wezwanie przyśle mu szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny;
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwyciężonemu, za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie, nocne rodaków rozmowy...

Adam Mickiewicz.

Jakie to ludy zamieszkiwały kraj, z którego przybył do nas król Jagiełło i jakie wiódł życie?

W dzikim pierwotnym kraju, żył lud długie, długie wieki, setki lat w stanie pierwotnym, na najniższych szczeblach cywilizacyi. Na paręset jeszcze lat przed narodzeniem Chrystusa Pana pas ziemi nad Niemnem i Dźwiną oparty o morze Bałtyckie w okolicy dzisiejszego Królewca, zaludniony był przez szczepy litewskie. Niektóre z nich wyginęły wśród ciągłych walk z sąsiadami, inne przetrwały czasy pogaństwa, a przyjąwszy chrzest święty, zaczęły się cywilizować. Do tych, po których nawet nie została nazwa, należeli Jaźwingowie. Dzicy, okrutni, napadali sąsiednią Polskę i Ruś, walczyć lubili po błotach i zawilach, wreszcie licha ich broń, drewniane tarcze i dzidy nie zdołały oprzeć się rycerstwu polskiemu, uzbrojonemu w stal i żelazo. W połowie wieku XIII Jaźwińgowie słabnąć i ginąć poczęli, wreszcie zginęli całkiem, a siedziby ich zajęły inne ludy. Podobnie znikli Prusowie, wytępieni przez Krzyżaków, a nazwa ich przeszła na krzyżackich potomków Niemców, którzy osiedli na zdobytej ziemi. Rozszerzaniu się niemieckich zaborów przeszkodzili Żmudzini. Milczący, ponury, a wytrwały jak kamień, bronił Żmudzin swojej ziemi od Niemców, niby mur z głazów zagrodził im drogę w głąb swej ojczyzny. Najdzielniejszym szczepem byli tu Litwini. Oni to nietylko, że umieli opierać się nieprzyjaciołom, ale wytrwali, nieufni, uparci, a silni w swoim uporze potrafili stworzyć państwo wielkie, sięgające od Dźwiny po Czarne Morze, od Bałtyku po Dniepr. Objęli niem ludy ruskie—a państwo litewsko-ruskie w połączeniu z Polską stało się jednem z najpotężniejszych w Europie.

W chwili, kiedy Polska, od dawna rozjaśniona światłem wiary w przymierzu i sojuszu z Litwą, widziała wielką, świetną przyszłość, Litwę zalegał jeszcze mrok pogaństwa, jeszcze, jak mówiliśmy wyżej, słabe nawet promienie cywilizacyi nie przedarły się przez gąszcz puszcz i borów. Ziemi urodzajnej było niewiele, żelaza Litwin nie znał prawie, pług drewniany jedynem był narzędziem rolniczem, a skąpe plony, owocem lichej pracy! Żywności dostarczała nie rola ale lasy — wody, łąki i ogrody. Litwin polował na dzikiego zwierza, łowił w jeziorach i rzekach ryby, które świeże, wysuszone, dobrą dawały strawę, w ogrodach hodował jarzyny i owoce. Gdy chleba nie stało, jadano pieczoną rzepę, a wiemy z historycznych zapisków, że nawet książęta posyłali sobie w darze rzepę. W lasach i ogrodach trzymano barcie, a roje pszczół znosiły słodki miodek z kwietnych łąk nadniemeńskich, Łąki dawały wyborną paszę, to też jaki taki gospodarz chował po 60 sztuk bydła rogatego, prócz kóz i owiec. Mało uprawiając roli, nie przywiązywał się Litwin stale do miejsca, siedzibę swą zmieniał często i w długie, długie lata jeszcze, po przyjęciu chrześcijaństwa, właściwem jego domostwem była nie chata, ale tak zwana numa t. j. obozowisko otoczone ścianami bez okien, pokryte dachem, pod którym, w dużej jamie wygrzebanej w ziemi rozpalano ognisko, przy niem spoczywała rodzina, a dokoła układał się cały dobytek, konie, bydło, kozy, owce. Tu układano też zapasy żywności, a kiedy było potrzeba, tymczasowe to mieszkanie zwijano i wędrowano dalej. Odzież dawnego Litwina prostą była jak żywność i życie całe. Sukna nie znano, futra z dzikich zwierząt, kożuchy baranie, które na wzór Tatarów noszono włosem na wierzch i płótno z lnu i konopi w wielkiej ilości uprawianych, dostarczały materyału.

„Ubiór ich — zwierzęce wszystko były skóry.
A majętność, na sobie, co mógł nosić który.
Dom — kuczka, prostym darniem nakryta, but z łyka:
Zwierzęcy łeb obłupił i wdział miasto szłyka".

Oto co można o sposobie życia dawnych pogańskich Litwinów powiedzieć. Rodzina opierała się na wielożeństwie. Litwin kupopował sobie żon ile chciał, między wieloma jedna miała pierwszeństwo, czyli starszeństwo Obyczaj wielożeństwa uważano za chwalebny, bo „czynił, że każda z małżonek goręcej miłowała męża, a ojczyźnie gęściej przysparzała obrońców“. Żony były niewolnicami mężów, ulegały każdemu ich skinieniu i nieraz dosyć się od srogiej ręki pana swego wycierpiały. Obowiązkiem ich była wszelka praca domowa, hodowanie dziatwy, sposobienie żywności i odzieży, służenie mężowi i panu na każdym kroku, zastępowanie go — gdy był na wojnie lub łowach — w polu i przy dobytku, a gdy umarł — odebranie sobie życia. Małe dzieciątko, żyło tylko z woli rodzica, jeźli on uznał, że słabe jest, albo w rodzinie zbyteczne, zabijał bez najmniejszego żalu, albo wyrzutu sumienia. Smutną była dola kobiety litewskiej dawnych czasów. Z biegiem lat zmienił się jednak los. Ponieważ Litwa ciągłe staczała walki już to w obronie swoich siedzib przeciw Niemcom, już starając się rozszerzyć posiadłości swoje, mężowie rzadko i nie na długo bywali w domu. Zastępowały ich we wszelkiej pracy żony i rolę sprawić i dobytek obrządzić i od dzikiego zwierza, a czasem i od złego sąsiada opędzić się musiała i umiała Litwinka. Z czasem też z niewolnicy, stała się dzielną, szanowaną towarzyszką męża. Obraz takiej „kobiety z wdzięków z bohatera duchem“ — dał Mickiewicz w powieści o Grażynie, o której mówi:

„Ona się jedna w całym dworze szczyci,
Że bohaterską Litawora postać
Wzrostem wysmukłej dorówna kibici.
— — — — — — — — —
Twarzą podobna i równa z postawy
Sercem też całem wydawała męża,
Igłę, wrzeciono, niewieście zabawy,
Gardząc, twardego imała oręża;
Często myśliwa, na żmudzkim rumaku
W szorstkim ze skóry niedźwiedziej kirysie,
Spiąwszy na czole białe szpony rysie
Pośród strzelczego hasała orszaku;
Z pociechą męża nieraz w tym ubiorze,
Wracając z pola, oczy myli gminne,
Nieraz od służby zwiedzionej na dworze
Odbiera hołdy, książęciu powinne,
Tak zjednoczona zabawą i trudem,
Osłoda smutku, spólniczka wesela,
Nietylko łoże i serce podziela,
Lecz myśli jego i władzę nad ludem,
Wojny i sądy i tajne układy,
Częstokroć od jej, zależały rady“.

Taką maluje poeta księżnę Grażynę, żonę Litawora z czasów Jagiełły i Witolda, a więc z tych czasów, kiedy chrześcijaństwo ledwo zawitało na Litwę. Podobnych dzielnej księżnie było Litwinek wiele, a to tak w dworcach książąt i bojarów, jak w chatach i numach kmiecych. Różniły się one od Polek, które otaczane opieką ojców, mężów i braci, chrześcijaństwem od dawna podniesione w swojej godności, prowadziły życie ciche, w niewielu tylko wypadkach zmuszone do wystąpienia w obronie swojej i swego gniazda, do pracy samodzielnej. P. S.

(C. d. n.)

GRUNWALDZKI DAR.

Nad Polską uderza dzwon
Pieśń bije w potężny ton...
Na serce pada jak żar...
— Na pomoc bracia! walka z Niemcami
— Nie krwią płacona lecz koronami!
Od krańca w kraniec
W obronny szaniec
Wołanie pada jak żar
Grunwaldzki dar!

Dziewięćset dziesiąty rok...
W przeszłość skierujmy wzrok
Sławy zwycięstwa lśni czar —
Czyliż pokonać się damy,
Gdy w boju o szkoły trwamy?
W zwycięstwie sławy lśni czar
Grunwaldzki dar!

Pieśń płynie na cały kraj...
Polaku słysz! grosz daj!...
Krzyżactwa nasyć gwar...
Kresowe szkoły stroić w sztandary
Hufce uzbroić w moc ducha wiary...
Rycerski szept to i gwar...
Grunwaldzki dar!

Z Jagiełłą ongi w bój,
Rycerstwo szło na wój!
Padł Krzyżak pod sromem kar,
Dziś cały naród niechaj w bój staje,
Ile kto może niech w składce daje,
Cień spłoszy krzyżackich mar
Grunwaldzki dar.

W warstacie, w biurze, w śród pól,
W pałacu, w chacie, przez ból
Wołanie pada jak żar
— Z pomocą bracia! Walka z Niemcami
— Nie krwią płacona lecz koronami,
Niech wroga pali jak żar:
Grunwaldzki dar.

Jadwiga S.

JESTEŚ TAKI MŁODY!

Było to 23 marca 1863 roku!...

W Lublinie wyprowadzono na plac stracenia młodego postańca, Kazimierza Bogdanowicza.

Młody był i piękny, tak, że kto na niego spojrzał, myślał z smutkiem: — Szkoda go!

Więc Moskal Chruszczew, który dawał rozkazy i miał za chwilę powiedzieć do roty kozaków: — Ognia!... widać także pożałował młodego bohatera, bo zawołał go do siebie i radzi:

— Podaj się pan do tronu... do łaski cara, szkoda ci umierać, jesteś taki młody...

A Bogdanowicz odrzekł spokojnie:

— Ja jestem młody, ale sprawa, za którą walczyć pragnę, stara jest... jej nie odstąpię...

— Ale pan masz matkę — pomyśl, jaki to cios dla niej — rozważ... car ci daruje, tylko trzeba prosić...

— Ja mam matkę, a ona sama uczyła mię, jak kochać wolność. Gdybym prosił cara o łaskę, matka moja wyparłaby się mnie.

Chruszczew poczekał chwilę — więźnia odprowadzono... wojsko ustawiło się w szyku, a gdy rozległ się głos komendy: — Ognia!... 12 kul padło w pierś bohatera.

Na drugi dzień przyjechała matka...

Wskazano jej dół zasypany świeżą ziemią.

Długo łzami zlewała tę smutną, straszną dla niej mogiłę, która kryła zwłoki syna, a wreszcie powlokła się chwiejącym krokiem do Chruszczewa.

— Czego pani chcesz? Radziłem mu, by się podał do łaski, ale nie chciał. Młody był, ale uparty — mściwy.

— Mój syn — słusznie zrobił, nie prosząc o łaskę cara, kto przed wrogiem poniża się i korzy dlatego, aby w jego służbie życie zaprzedać, ten zdradza świętą sprawę wolności. Teraz on już dla was nie jest niebezpieczny, już broni nie podniesie — pozwólcie, bym ciało jego pogrzebać mogła na cmentarzu, gdzie bodaj mu krzyż postawię...

— Nie wolno!... Tu padł — tu niech leży... nie chciał łaski, nie ma jej...

Biedna matka odeszła spokojnie... nie chcąc wroga łzami swemi rozweselać... lecz Chruszczew stał długą chwilę zadumany i powiadał:

— Nie chciał łaski — nie ma jej... a car byłby mu darował życie, byłby dał na Sybir — taki młody...

O tak!... moskiewski sługo!... wiedz dobrze, że każdy Polak choć i młody, woli dać życie w ofierze za sprawę narodową, niż prosić o łaskę u twego cara — który łaskawie kraj cały krwią zalał i mogiłami zasiał. *Z. S.*

CIOCIA JULA.

(Opowiadanie).

Zwano ją ciocią Julą. Była to staruszka wątła, blada – delikatna.

Oczy niegdyś błękitne, dziś spłowiałe i zmęczone, patrzyły słodko i smutnie na ludzi. Znaną była z niesłychanej dobroci i mrówczej pracowitości.

Cicha też była i tak jakoś umiała żyć, że nikomu nie stała się nigdy zawadą ani ciężarem, choć zdrowie miała liche, a mieszkała u braterstwa, którzy jedni, jedyni już jej zostali na świecie i przygarnęli staruszkę – sierotę do swego ogniska.

Ciocia Jula była starą panną. Tytuł, a raczej ta właściwość, stawiająca niejedną postać kobiecą w komicznem świetle — jej jakoś nic nie ośmiesza.

W obecności jej, zapominało się o dowcipach i utartych frazesach o starych pannach; widziało się tylko biedne — blade — pomarszczone, a jednak o czystych liniach oblicze. Widziało się jasne rozumne czoło, a nadewszystko patrzyło się w oczy jej i jakieś dziwne pragnienie opanowywało, aby wydobyć z głębi tej istoty wyznanie: co ją zmusiło do zostania samotną i czemu oczy jej tak bardzo — tak niesłychanie smutne? —

Było to wczesnem latem. Goście, których spodziewaliśmy się, zawiedli, a natomiast przyjechali państwo I. z ciocią Julą i swoją córką Helą, moją serdeczną przyjaciółką i rówieśnicą.

Popołudnie zeszło miło: panowie gwarzyli na ganku — panie poszły obejrzeć ogród, a my dwie — dorosłe, pełne życia dziewczęta — usiadłyśmy na stopniach ganku u stóp cioci Juli.

Pamiętam, dnia tego przy podwieczorku podano poziomki pierwsze w tym roku. Każdy z nas zachwycał się niemi i brał po parę razy, ale ciocia Jula – mimo próśb – tknąć ich nie chciała, a wymawiała się tak jakoś smutnie, że daliśmy spokój zapraszaniu, a ja nawet powiedziałam:

— Pocóż my męczymy panią, kiedy pani może nie lubi tego przysmaku!

— Lubię, moje dziecko, ale nie jem ich nigdy – szepnęła ciocia Jula do mnie.

Gdyśmy siedziały na ganku we trzy – rozmyślałam tylko nad tem, jakby tu naprowadzić rozmowę na to, dlaczego ciocia nie je poziomek. Znając ją, wiedziałam, że to nie jest ani kaprys ani poza, a słowa jej powiedziane wtedy do mnie brzmiały tak smutno i cichutko!

Siedziałam i dumałam, tymczasem Hela wstała cicho i poszła do fortepianu.

Przez otwarte, obrosłe dzikiem winem okna polały się dźwięki rzewne — ciche i serdeczne. Tak się rozmarzyłam i ośmieliłam, że przytuliwszy się serdecznie do cioci szepnęłam:

– Pani mi powie, dlaczego pani nie jada poziomek?

Spojrzała na mnie naprzód zdziwiona a potem, jakby wracając z jakiejś wędrówki myśli, powiedziała:

– Słuchajże dzieweczko! Dawno to było! Ludzie nie byli tak spokojni i weseli jak dziś; życie szło smutno i twardo. Serca bolały, a dusze rwały się do wolności, bo nacisk był bardzo ciężki i bolesny. Może nie wiesz, o czem mówię: oto o powstaniu 63 roku. Każda rodzina polska — prawie każda złożyła na ołtarzu miłości Ojczyzny najpiękniejszy dar, na jaki się człowiek zdobyć może. Oto ojcowie i matki ofiarowali dzieci swoje na śmierć i gorszą jeszcze od śmierci poniewierkę i męczeństwo. Ale duchy płonęły wtedy wysokiem, jasnem i czystem światłem — ofiary mnożyły się – powstanie wybuchło.

W pewnym cichym dworze żyła wtedy młoda jasnowłosa dziewczyna. Tą dziewczyną byłam ja – mówiła ciocia cicho, a wyraz jej oczu stawał się beznadziejnie smutnym.

Zdawało się, że widziała coś w przestrzeni— coś zakrytego przed mojemi oczyma.

— Dawali ludzie ofiary z serca i krwi — dałam i ja swoją. Wybrany mój poszedł w bój, a wkrótce — po paru ledwie tygodniach, nieśli go już bez duszy do domu rodziców jego. Byłam tam wtedy, aby staruszków pocieszać i płakać z nimi, gdy leśny przyszedł z tajemniczą miną i szepnął coś staremu ojcu.

Ze zbielałych nagle lic jego wyczytałyśmy wszystko. Wyruszył z domu smutny karawan. Tuż za ogrodem był cudny, rzadki dębowy las. Zima w tym roku nie zasypała go śniegiem jak zwykle; były w nim ogromne przestrzenie omszone, pożółkłe, wolne od śniegu.

Naprzeciw nas szli ludzie, dźwigając ciężar. Jakim sposobem znalazłam się przy nim — nie wiem. Zapamiętałam tylko tę bladą najdroższą twarz, a na szarej, mrzystej pożółkłej darni zobaczyłam — — jagódki czerwone — gęsto rozsiane. Były to ostatnie krople krwi jego — poświęconej Ojczyźnie!

Od tej pory dużo lat minęło — widzisz staruszkę przed sobą. Żal mój tleje pod warstwą popiołu nagromadzonego latami i życiem.

Poziomek jednak nie jem nigdy. Gdy je widzę — na myśli mam zawsze te rubinowe jagody — — tam — — w dalekim lesie — po zżółkłej darni rozsypane.

Oczy cioci Juli zajaśniały dziwnym blaskiem. Na twarz jej wystąpił rumieniec i na chwilę zdawała się jej twarz odmłodzoną— cudną. Trwało to jednak chwilę tylko. Gdym spojrzała raz drugi w tę twarz dobrą i jasną — zmarszczki już zasnuły na niej sieć nanowo, a ze zgasłych ócz sączyły się ciężkie — grube łzy — —

W kilka miesięcy po tej rozmowie już nie było cioci Juli na ziemi. Umarła spokojnie i cicho jak żyła, zostawiając w kilku miłujących ją sercach głęboki żal i tęsknotę za sobą. Gdy na wiosnę odwiedziłam jej mogiłę skromną, z przedziwnem uczuciem patrzyłam na drobne krzaczki poziomkowe, wyrosłe u jej stóp. Rozum tłumaczył mi, że wiatr przyniósł z lasu poblizkiego i zasiał tu te roślinki — a jednak — —

Obejrzałam się dokoła — nigdzie — nigdzie nie było ani drzewka oprócz tych zasianych na grobie cioci Juli.

A kto je zasiał? nikt nie wie!

Jadwiga Szegdziańska.

ŚCIĘTE DRZEWO.

I znów mi dzisiaj ścięto drzewo ukochane
W samym przedniu wiosny, w narodzinach życia!
Pień tylko teraz widać, wielką, krwawą ranę,
Co jest symbolem śmierci, mogiły i gnicia.
Wandala to jest ręka, co ścina te drzewa,
Bezlitosna i chytra, te łakome oczy
Nie widzą w drzewach piękna, a może je gniewa,
Że piękniejsze od ludzi drzewo, gdy roztoczy
Cały blask swej wiosennej piękności i siły!
Gdzież ptaki śpiewać będą, gdy im drzew [zabraknie?
A jakie smutne dla nas bez ich śpiewu wiosny!
Napróżno biedne serce ukojenia łaknie,
Nie zabrzmi hymn wiosenny, dźwięczny i ra- [dosny.
A ta biedna ptaszyna, co to gniazdko wiła,
Gdy tu znowu powróci, co sobie pomyśli?
Że jakaś bezlitosna, wszechniszcząca siła
Drzewo z gniazdkiem wyrwała! I pocóż tu [przyszli
Ludzie źli i łakomi na drzewo i gniazda?
Cóż im drzewo szkodziło, a z nim moja chata?
Wkrótce szkodzić im będzie ta świecąca gwiazda!
Wszędzie za wami ludzie ruina, zatrata!
A co wiatry powiedzą, gdy w jesiennym tonie
Jednej struny zabraknie jęczącej boleśnie,
Czy o bólu zapomną i zduszą go w łonie,
Czy też głośniej zajęczą i przebudzą we śnie
Tych co drzewa ścinali, nastraszą ich wyciem.
Nocne mary ukażą, aż włosy powstaną
I symfonią jesienną, drzew śmierci odbiciem
Całą noc męczyć będą nutą rozpłakaną.

Julian Borkiewicz.

Precz z wódką.

Słowo okowita pochodzi od łacińskich słów: aqua vitae (woda żywota).

Życiodajnym płynem nazwał kiedyś mędrzec to, co powstało przypadkowo na dnie retorty; sądził, że wódka stanie się pocieszycielem smutnych, wzmacniającym eliksyrem dla słabych, chorowitych ludzi. My dzisiaj wiemy, jak okropną była pomyłka, która truciźnie przypisywała przymioty napoju z niebios zesłanego. Patrzymy niestety na pobojowiska życia, zasłane w ciągu wieków niezliczonem mnóstwem ofiar owej trucizny; a choć niejeden przyjaciel ludzkości podnosił głos ostrzegawczy, choć wielu już współczując z niedolą ludzką, ręce z rozpaczy załamywało, przecież z obłędnego koła wyjść nie możemy, ani namiętności powściągnąć, ani biedy zmniejszyć. Jedni opuszczają padoł ziemski z przekleństwem na ustach dla trucizny, która ich przedwcześnie wtrąciła w otchłań, a drudzy nie pomni na odstraszający przykład, w radosnem uniesieniu wyciągają ręce do kieliszka, na którego dnie spodziewają się znaleźć kilka chwil prawdziwego wesela lub zapomnienia. Piekło zaś się raduje, a śmierć przyspiesza kroku.

Rozpatrując się w stosunkach robotniczych, widzimy jednego strasznego i nieubłagalnego wroga tej i tak już dość uciemiężonej klasy społecznej, a jest nim okowita. Jak zmora dusząca, jak ogień wyniszczający pożera on co roku setki i tysiące ofiar wśród klas pracujących.

Ileż to matek robotnic gorzkich łez wylało nad dolą swoją i swych dzieci — gdy ojciec wracał do domu bez centa w kieszeni — pijany — brutalny potwór bez czucia i serca, topiący w kieliszku i swoją krwawicę i szczęście swej rodziny.

Ileż to krwi i nieszczęść przeszło przez życie robotnicze dlatego, że przy kompanijce wesoło płynęły chwile.

Kiedy tak żywo sprawę tą sobie uprzytomnimy, przerazić musi każdego ten ogrom krzywdy, jaki przez ową nieszczęsną wódkę zaciężył nad klasą pracującą, przygnieść musi to brzemię klątw, których ona stała się powodem.

I zdawałoby się, że gdyby można dzisiaj zabronić ustawowo, pod karą, picia wódki — to jeszcze nie byłoby to nic, w porównaniu z tem, ilu nieszczęściom, jakiej degeneracyi społecznej przez to by się zapobiegło.

Bo czyż robotnik straci co na tem, gdy wódkę pić przestanie? Nie — owszem przeciwnie. Stanie się trzeźwiejszym. Zamiast przepijać swój zarobek, wróci do domu po pracy. Da jeść żonie i dzieciom. Zamiast siedzieć w szynku i tam „topić robaka“, znajdzie szczęście i choć trochę spokoju w swojem kółku rodzinnem.

Przecież ów „napój ludu“, to klątwa nad nim ciążąca, to postrach i krzywda jego.

Więc precz z nim!

Z MOJEJ CHATY.

Z mojej chaty myślą gonię
Daleko przez pola...
Wszędzie widzę braci w smutku
Wszędy czarna dola.

Z mojej chaty myślą lecę
Przez mój kraj kochany,
Wszędzie widzę łzy płynące
Wszędzie krwawe rany.

Z mojej chaty myślą idę
Po sercach wśród ludzi...
Wszędy życie ciężką orką
I męczy i trudzi!

Z mojej chaty myślą pukam
W to jutro nieznane...
Pytam kiedy słońce przyjdzie
Szczęściem ozłacane.

Lecz głos słyszę: szczęście wasze
Nie wypłynie z nieba...
W wielkiej zgodzie i miłości
Pracować nam trzeba.

Jadwiga S.

SAMOLUBY.

„Samolubstwo jest błotem ciała."
Zyg. Krasiński.

Małoż to samolubów w około was?

Znamy ich wszyscy i narzekamy na nich, wymawiając ciągle, iż mogliby zrobić wiele dobrego, a nie robią.

Ten bogacz mógłby otrzeć niejednej nędzy łzy, ale nie zrobi tego, bo on siebie kocha, a więc o tem tylko myśli, jakie dywany będą miększe pod jego stopy, jakie materye wygodniejsze pod jego cielsko, jakie wina lepsze dla jego smaku.

Tamta dama mogłaby dopomódz nie jednemu biednemu dziecku w nauce, bo ma dużo pieniędzy, a dzieci nie ma, ale ona siebie kocha, nie narodu oświatę, ani kojenie łez, więc życie jej mija na kupowaniu aksamitów i koronek, złota i brylantów, na zabawach rozliczonych i grymasach coraz inszych.

Ten młodzieniec mógłby być w kraju jednostką pożyteczną, mógłby iść między spracowany lud i czytać mu piękne rzeczy, opowiadać o dziejach lat dawnych, o tem, co dziś dla nas ważne i drogie, ale on kocha siebie, więc woli stroić się przed zwierciadłem godzinami, podkręcać wąsiki, zmieniać krawaty, potem przesiedzieć parę godzin w cukierni lub kawiarni, potem z pannami się bawić.

A pan, panie robotniku, który z mozołem zarabiasz grosz dziennej zapłaty, czy nie jesteś także samolubem? Wszakże i ty mógłbyś czynić coś dla drugich, dla narodu, dla podniesienia ducha u braci, ale ty kochasz siebie, więc dogodniej ci usiąść przy szklance piwa, zapalić fajkę i rozmawiać z sąsiadem o tem, jak źle na świecie. Prawda! Na świecie źle, ale kto chce, aby było lepiej, ten niech pomoże pracować nie tylko na chleb, dach, odzież i to, co jemu potrzebne, lecz niech pracuje dla drugich nie za zapłatą, nie za nadzieję wdzięczności, nie z myślą o sławie, ale dla tego, iż człowiek nie powinien mieć błota samolubstwa na sobie lecz cnotę poświęcenia się.

Miliony samolubów w świecie i dla tego ciągle wszyscy narzekają, że źle.

Bogaci samoluby narzekają na biednych samolubów, bo bogaci nie chcą im nic ze swoich skarbów udzielić, a biedni nie chcą swej pracy dawać bogaczom za pół darmo. Biedni samoluby żalą się na bogaczów, bo myślą, że tamtych dostatki dałyby im szczęście, a nie wiedzą, że i wszystkie skarby nie przyniosłyby jeszcze szczęścia, gdy samolubstwo zostanie jak jest z niemi. Uczeni samoluby nie umieją poświęcać się dla ciemnych braci, a ciemni i nieuczeni nie chcą poświęcać życia mozołom nauki, bo oni kochają siebie, a nie wiedzę i prawdę, więc wolą spać, jeść, grać w kręgle, pić piwo jak czytać, pracować w stowarzyszeniach, uczyć swoje dzieci tego, czego je w szkole nie uczą...

Ta i owa matusia, żona, gospodyni, gniewa się, żali na męża lub syna, iż dają parę groszy na polskie gazetki lub książki, bo one kochają siebie, więc wolą, aby te pieniądze szły na ich wygody, a samolubstwo to, jak błoto obrzydłe, szpeci życie i przeszkadza pracy w narodzie.

Wie każdy, iż najpiękniejsza łąka, jeśli zostanie zamulona piaskiem i błotem, staje się bagnem, w którem tylko żabom raj... Tak i w życiu. Zamulona samolubstwem dusza nie rozkwitnie kwiatami cnót, a tylko wady w niej się mnożą.

Kto u nas poświęca się dla innych? Mało takich, zanadto mało. Ten lub ów pisarz, który pół życia przemęczy się w niedostatku i trudach, prześladowany i potrącany ciągle, ten poświęcił się pracy dla narodu, siebie nie kocha, dla innych żyje, a za to nie uzyska nawet szczerego „Bóg zapłać!" — czemu? — bo samoluby ani jego pracy nie uszanowali, ani nie ukochali, co im takie rzeczy... aby swoje mieli czego pragną.

Ten lub ów kapłan wielki sercem i duszą, którą bliźnich kocha i siebie czyni najuboższym sługą — w zapomnieniu i pogardzie żyje gdzieś w ustroniu, bo wielkim i mężnym został samolub, bo ten umiał sobie życia drogę torować.

A robotnik gorliwy dla sprawy narodowej?... Oj! cierpi on niemało, wytrącają mu płacę, oddalają od roboty, wyśmiewają się z niego, żona mu ćwierka wymówkami nad głową, bo on siebie nie kocha, o sobie nie myśli, ale zbiera braci, radzi im, Polskę kocha i o Polsce myśli. Jakże biedni są ci, którzy nie mają błota samolubstwa na sobie, ale jak wtedy kraj będzie silny, jeśli tych będzie miliony, a samoluby znikną na zawsze!

Powiedz szczerze, który czytasz w tej chwili naszą gawędę — pokonałeś choć raz w życiu swoje samolubstwo?

Jeśli nie, to zacznij, a przekonasz się, jak to serce cieszy a myśl rozwesela, jeśli się czuje mniej błota na sobie, a widzi bodaj jakiś drobny czyn poświęcenia za sobą.

Lubisz wieczory spędzać daremnie — zacznij czytywać polskie książki, już to będzie czyn dobry. Lubisz palić wiele, odłóż z tego na polskie gazety, lubisz unikać wszystkiego, aby mieć spokój, pocznij pracować w stowarzyszeniach, zwalczać niemieckie wyrazy, godzić zwaśnionych, a już samolubstwo twe zmniejszy się.

Polska tedy będzie potęgą i siłą wielką, kiedy wszystkie jej dzieci będą ją kochać więcej jak siebie. Więc samolubstwo trzeba niszczyć i kochać w życiu wszystko co lepsze, większe, jaśniejsze i droższe nad ciebie, wszak bracie, jeśli ty kochasz siebie — jesteś najmniej kochania godnym.

A małoż to samolubów w około nas?

Jadwiga z Łobzowa.

Śmieją się z bajek.

— U nas się śmieją z bajek, nie chcą słuchać tego, co starzy ludzie opowiadają, mówią, że to staromodne i nic nie warte.

Tak mi w niejednej wsi odpowiadano, gdym prosiła o bajkę nie z książek wyczytaną, ale od starych ludzi słyszaną.

A jeśli spotkałam starowinę, która umiała opowiadać śliczne bajki, a oglądała się ona biedaczka z lękiem na lewo i na prawo czy kto nie słyszy i powtarzała raz po raz:

— Gdyby słyszeli, śmieliby się.

Więc godzi się spytać, czy należy wyśmiewać się z baśni przechowanych w pamięci starszych ludzi?

Kto wyśmiewa się, ten daje dowód, iż nie rozumie, czem są ludowe baśni i legendy Mickiewicz, największy nasz poeta, rozpoczął pisać pieśni od opisywania ludowych podań — Słowacki także brał wiele treści do swoich pieśni, z podań i legend ludowych. Uczeni ludzie nie wyśmiewają się z tradycyi narodowej lecz ją szanują i cenią, bo w naszych gawędach i baśniach jest niejedno ziarno mądrości, niejedno słowo nauki i prawdy.

Ci, którzy już uczą się w szkołach, czytają, poznają świata dziwy, ci nie powinni gardzić tradycyą starą. Nie wszystko to jest warte wyśmiania, czego jeszcze w książkach niema, to co od starszych ludzi słyszymy w opowiadaniach i gawędach powinniśmy uszanować i dzieciom naszym przekazać.

Zdarzy się, iż ten lub ów opowie baśń mniej ładną, ale znachodzą się i między książkami jedne lepsze, drugie gorsze.

Gdy poczną dzisiejsi wyśmiewać wszystko to, co słyszą z ust starszych ludzi, to za lat kilka wszystko pójdzie w zapomnienie i nigdy już nie wskrześnie. Tradycya zgaśnie jak światło zgaszone, ale go już nikt nie rozpali.

Nie wyśmiewać, lecz przeciwnie powinniśmy spisywać gawędy i opowiadania starych ludzi; bo to są skarby narodowe i w nich się dusza narodu chowa.

Rodzice powinni uczyć dzieci poszanowania dla przeszłości. Boleśnie słyszeć skargę starych ludzi, którzy ze łzami powtarzają:

— U nas wyśmiewają się z wszystkiego!

Jadwiga S.

DZIAŁ GOSPODARCZY

Wiadomości gospodarskie.

Zakupić pokarmy dobre, to należy do najważniejszych spraw gospodyni. Jeżeli gospodyni przy zakupywaniu nie będzie zważała na to, aby pokarmy były dobre, jeżeli pozwoli się oszukać i weźmie złe, lub na pół zepsute, to wyda wiele pieniędzy, a przyrządzi strawę lichą i niezdrową. Dlatego musi dobra gospodyni najpierw zmiarkować sobie dobrze, po czem poznać towary dobre lub złe. Naprzykład:

K a w a. Czy kupić gatunek droższy czy tańszy, to zależy od dochodów domu. Nigdy nie trzeba kupować kawy mielonej, ponieważ mieszają do niej różne rzeczy, biorą najgorsze gatunki i psują ją przez to, że palą zbyt ciemno.

Najlepiej kawę kupować surową a w domu upalić. Zwykle zielona kawa najlepsza. Nie powinno być w niej czarnych ziarnek i nie powinno być czuć stęchlizny.

Kto kupuje kawę paloną, niech uważa na kolor jasno albo ciemno-brunatny. Kawa za czarno upalona straciła swe części pożywne i smaczne, stała się węglem do niczego, chyba, że jej nadano farbę czarno brunatną przez jakie szkodliwe zafarbowanie.

Jeżeli kto z biedy szuka czego innego do kawy, ten niechaj nie bierze cykoryi, lecz niechaj domiesza nieco „kawy zdrowia“, albo lepiej niech sobie kupi palonego jęczmienia albo żyta, i niech sam sobie zmiele na młynku od kawy, to dobrze smakuje a zdrowiu nie szkodzi jak cykorya. — Najlepiej zamiast kawska spożywać różne zupy, żur, barszcz i herbatę.

M ą k a p s z e n n a dobra jest biała, miękka, tłustawa, tworzy grupki, jeżeli się ręką ściśnie; musi pachnieć słodkawo, nie stęchło i być sypką. Złą i fałszowaną mąkę poznać po tem, że się garść tej mąki mocno ściśnie i położy na stół; jeżeli się mąka trzyma kupy, to nie jest fałszowana, jeżeli się zaraz rozsypie, to jest do niej coś domieszane.

Nie trzeba nigdy kupować mąki gorszego gatunku, ponieważ wtenczas zwykle jest pomieszana z resztkami innych gatunków złych. Przy najlepszym gatunku najtaniej się wyjdzie.

M ą k a z t a t a r k i musi być białawą, świeżo pachnieć, nie powinno być pozlepiana i przyjemnie winna smakować. Mąka zła jest gorzka i stęchła. Latem zwykle ta mąka jest złą, dlatego w tej porze nie używać jej.

Kaszka nie powinna mieć zbyt małych ziarnek. Czy jest pomieszaną z mąką z kości, to poznać z osadu na spodku, skoro się na nią naleje zimnej wody. Jeżeli w niej jest wapno, to poznać po tem, że wielkie wydaje szumowiny przy gotowaniu.

K a s z a o w s i a n a musi być świeża i biaława, smakować przyjemnie słodkawo, niegorzko, co się zdarza, jeżeli owies rósł na ziemi mokrej. Kasza płasko mielona albo gruba jest lepszą, ponieważ się prędzej ugotuje i tylko może być wyrobiona z dobrego owsa.

K a s z a j ę c z m i e n n a najlepsza jest ta, w której ziarnka równej są wielkości. Nie powinna mieć zapachu stęchłego i nie wyglądać jak mąka, t. j. nie być zmieszaną z mąką.

R y ż najlepszego gatunku ma ziarnka wielkie i jasne. Do użytku zwyczajnego są lepsze gatunki tańsze, byle nie były żółte i byleby nie było ich czuć stęchlizną.

G r o c h jest bardzo pożywnym pokarmem.

Powinno się kupować groch duży, gdyż mały zazwyczaj jest niedojrzały.

Soczewica jest równie pożywna jak groch. Dobry gatunek jest czysty, jasno żółty, więcej okrągławy jak płaski. Soczewica czerwonawa jest stara i nigdy nie będzie miękka. Ziarnka małe, twarde, są złe.

Rodzynki muszą być czarno-niebieskawe, czyste, suche, słodkie. Zły gatunek jest czerwonawy, ma jagody stare, nieczyste, pozlepiane, kwaskowe.

Śliwki suszone nie powinny być ani za twarde ani za miękkie. Małe, wilgotne, kwaśne, stare, jakoby białym cukrem posypane, są niedobre.

Dobra sól ma grube ziarno, jest biała przezroczysta, lekka i sucha.

Niemoc nóg u kur. Choroba objawiająca się u kur niemocą nóg, powszechnie uważana za reumatyzm, właściwie nie jest nim, więc też i wszelkie używane w takich razach smarowania, wcierania powierzchowne przechodzą bez znaczenia, wynika ona głównie ze złego trawienia, nagromadzonych kwasów żołądkowych i nierozpuszczonych tłuszczów w wolu chorego ptaka.

Nawiedza najczęściej młode kurczęta w pierwszych tygodniach ich życia, począwszy od trzeciego, rzadko kiedy wcześniej. Wywołuje złą formacyę kości, zwiększa stawy i doprowadza nieraz aż do zupełnego pokrzywienia nóg.

W stadkach młodzieży wychowywanych w zimie, przypadłość powyższa przyjmuje groźną postawę, wyniszczając nieraz całe gniazda.

Ponieważ owo wyginanie, wykrzywianie się nóg kurczęcich, nawiedza kurniki w zimie, z tego powodu przypuszczano, iż brak dostatecznego ciepła, przeciągi, zmiana temperatury, wilgoć, wywoluje powyższą słabość, i nazwano ją reumatyzmem. Tymczasem pokazało się, iż kurniki urządzane nawet ze wszystkiemi ulepszeniami, wentylacyami, z ciepłem stale utrzymanem w 18-tu stopniach Reaumura, z wysłaną podłogą i obitemi ścianami wojłokiem i to wszystko nie przeszkodziło kulawiźnie kurcząt. Jedyną w tem spostrzeżeniu prawdą jest, iż zimowa pora sprzyja kulawiźnie, lecz nie z samego braku dostatecznego ciepła, ale z przyczyny innych warunków do zimy przywiązanych, mianowicie: niemożebność używania ruchu na świeżem powietrzu — kąpieli słonecznej, zbierania na kwiatkach, trawach i ziemi tysiącznych leków, żadną sztuką niezastąpionych, znanej tylko rozumom kurzym, nauki dotąd dla głów ludzkich niedostępnej.

Leczenie choroby powinno być zawsze poprzedzone prezerwatywami i tak: wszelkie pokarmy jakieby one były, podawane pisklętom, powinny przedstawiać względną suchość, ostrość, miałkość, dla pobudzania i utrzymania trawienia.

Zaraz w pierwszych dniach dawane jajko, powinno być siekane razem ze skorupką i mieszane w jednej czwartej części z miałko tłuczoną lub tartą, pszenną bułką czerstwą.

Na ten cel wszelkie okruchy i odłamki bułek schodzących od śniadania, powinny być zbierane, suszone i schowane w suchem miejscu, do pory właściwej.

Następnie wszelkie kasze przeznaczone dla zwierząt, należy gotować na pół, raczej rozprażyć, niż ugotować, ażeby kruchością swoją zawsze przedstawiały w żołądku zwłaszcza w wolu, pewną odporność drażniącą, a większością swoją nie rozleniwiały zdolności trawienia.

Mleko ciepłe za napój, znakomitego jest działania, pomaga wzrostowi i sile, lecz niestety w zimie! skutki jego są zwodnicze im szybciej, tłuściej pisklęta rozwijają się na mleku, tem prędzej w danej chwili, nastąpi krzywienie się nóżek.

Korzystniej zatem w słabszem mięsie utrzymywać kurczęta, dając za napój jedynie wodę, niż mleko pobudzające wprawdzie rozwój do czasu, ale przez zakwaszanie, zaszlamowanie wola pomagające kulawiźnie.

Jeżeli jednak możliwe ostrożności nie uchronią kurcząt od niemocy nóg, wtedy na-

leży: trzy razy dniem przed racyą dzienną dawać siemię konopne lekko nadgniecione. Pokarm ten działa rozwalniająco, a chociaż przy kulawiźnie zwykle dołącza się dyarya, jednak środka pobudzającego jeszcze do rzadszych odchodów, niema się co obawiać. Za napój po kilka razy na dzień, nalewać w czyste miseczki ciepłą wodę, i to wodę, o tyle tylko nie gorącą, by sobie dziobków nie parzyły.

Siemię pobudza pragnienie, należy z niego skorzystać, podając jaknajczęściej ciepłą wodę. Po nakarmieniu i napojeniu chorego ptaka, wziąć go do ręki i wole ręką lekko rozgniatać, jakby przerabiając pokarmy w niem zawarte.

Widziałam raz kurnik złożony z 60-ciu, trzytygodniowych kurcząt wylęgłych w zimie, czołgających się po drodze z nóżkami porozwodzonemi, na wszystkie strony pokrzywionemi, a po 24 godzinach kuracyi, ściśle przeprowadzonej, wszystkie prawie, z małym wyjątkiem, powstały na nogi, stawiając je sztywno — w drugie 24 godzin, biegały wesoło śpiewając, niepomne na ludzki despotyzm, powołujący ich do życia w porze dla nich niewłaściwej.

Nie bez racyi też uwieczniła się w przysłowiu słaba pamięć kurza.

O! bo gdyby ród kurzy umiał pamiętać, a był mściwy, kością w gardle (chociaż po śmierci) stanąłby tym gospodarzom, głowom rodziny, panom stworzenia, którzy wolą u Stępka drogo płacić chude kapłony, niż przeznaczyć żonie dla wyżywienia zgłodniałej skrzydlatej rzeszy kilka korcy pośladu pszennego rocznie.

Jeżeli niemoc nóg nawiedziła dorosłą sztukę, co nie często wprawdzie się zdarza, ale się jednak zdarza, również trzeba działać podobnemi środkami, dla oczyszczenia wola i żołądka. Pacyenta ulokować w koszu wysłanym miękką słomą i postawionym w ciepłem miejscu. Cztery razy dniem wysadzić go na ziemię, dla nakarmienia, pokarm powinien stanowić: osiery jęczmienne, albo co lepiej ospa owsiana zaparzona wodą, zagnieciona, na sucho kruszące się ciasto, do czego jedną czwartą część dodać siemienia konopnego nadgniecionego; za napój, mocno ciepła woda. Aż do wyzdrowienia ani pszenicy, ani kartofli gotowanych i pod żadnym pozorem zimnej wody, przynajmniej z tydzień. Wole kilka razy dziennie ręką nagniatać.

Bacząc, iż każda skłonność do choroby bywa dziedziczną, należy kury, zwłaszcza koguty do rozpłodu wybierać z palcami, jeźli można prostemi, a nogami, od siebie w kolanach oddalonemi, (nie jak czasem bywa formującemi literę X), czyli rozstawionemi od góry do dołu w jednakowej szerokości.

Zaraza racic i ryjów u świń. Panując w całej okolicy, nawiedziła i moją trzodę razy trzy. Nie brak porządku ją sprowadza, gdyż u mnie każdego dnia nawóz się wyrzuca, skrobie się wszystkie chlewy do czysta, zamiata się i wysypuje piaskiem trzy razy dnia, a kanały i rynsztoki wysypuje się popiołem, co i czyści powietrze i środkiem jest dezinfekcyjnym.

Ze wszelkich leków przepisanych i używanych, przemywanie wodą karbolową okazało się najskuteczniejsze, pod jej działaniem choroba się nie rozwija aż do schodzenia racic, przebieg jej o wiele staje się łagodniejszy.

Skoro objawi się na pojedyńczych sztukach, należy wszystkim, jako przezerwatywę, umyślnie na to sprawioną wielką gąbką (jak do mycia powozów używaja) maczaną w wodzie karbolowej, polewać trzy razy dnia nogi i ryj zdrowym i chorym. Wtedy jedna część trzody wcale nie podpadnie chorobie, druga ją lekko przejdzie, chorym już racice nie zejdą, co rzeczą jest nader ważną, a bąble na ryju napełnione białą cieczą wodnistą, jak przy oparzeliźnie w parę dni przyschną, nie przechodząc w ropienie.

W roku 1887 w całej okolicy trzoda na kolanach chodziła przez parę miesięcy trwania zarazy, kilka sztuk padło z tej przyczy-

ny, nawet tam, gdzie ją starano się leczyć, u mnie zaś zaledwie niektóra sztuka utykała, ogół stawiał nogi nader uważnie, co dowodziło zdeklarowanej skłonności do powyższej choroby, która jednak w walce z płynem kwasu karbolowego ujarzmioną została.

Należy tylko wody karbolowej nieżałować, lać po nogach strumieniami, aby we wszelkie szczeliny racicy wejść mogła.

Przepis pieczenia chleba razowego. $2^1/_3$ kilograma (5 funtów) razowej (prostowej) mąki pszennej, albo i żytniej, rozczynić w wazie lub w misce z półtora litra wody zimnej i dobrze przemieszać.

Wodę zimną należy uważać za pożyteczniejszą niż ciepłą, ponieważ woda ciepła prędzej sprowadza kiśnienie (fermentacyę). Chleb mógłby być wprawdzie wskutek tego pulchniejszy, ale straciłby na pożywności i smaku.

Następnie rozdziela się ciasto na 4 do 5 równych części, wyformowując z nich bochenki, poczym układa się je na suche, razową mąką posypane dachówki (nie łupkowe, ale wypalane z gliny), wygładza się górną część bochenków dobrze wodą; dachówki z bochenkami kładzie się na próżne gliniane doniczki od kwiatów (wazonki) i wstawia tak w gorącą rurę kuchenną lub piec piekarski *).

Czy to w rurze, czy w piecu, nie powinny się podczas pieczenia znajdować żadne i z niczem garnki kuchenne. Jeżeli się chleb wypieka w blasze czyli w rurze kuchennej, to powinno się utrzymać ogień ciągle płonący ale spokojny, niezbyt mocny.

Poczekawszy pół godziny, w ciągu której nie otwiera się pieca lub rury, odwraca się bochenki przednią stroną ku ścianie tylnej. Jeszcze kwadrans poczekawszy, trzeba zaglądnąć, czy chleb wypieka się mocno, a zarazem przewraca się bochenki, bo na spodzie będą zwykle jeszcze za miękkie.

Chleb należy piec dopóty, aż przy opukaniu go nie wyda odgłosu próżni. Zwykle po odwróceniu potrzeba jeszcze pół godziny zatrzymać w piecu. Następnie można już na pewno liczyć, że chleb będzie wypieczony, a skórka nie za twarda.

Czystość naczyń kamiennych odrutowanych. Ważną rzeczą w gospodarstwie domowem jest hygieniczne utrzymanie naczyń kamiennych, które ze względu na drobne pęknięcia i szczerby, nagromadzają w owych szczelinach przez częste używanie tłuszcze i kwasy, a te są bardzo szkodliwe dla zdrowia.

W tym celu wyparza się garnki gorącą wodą, a potem wstawia się garnek do góry dnem na kilka godzin do bardzo gorącej rury (do pieczenia) a owe tłuszcze i kwasy zejdą z naczynia, w końcu wyparza się po raz drugi naczynie i można je używać jako czyste naczynie.

Hygiena mleka. Najnowsze badania naukowe, jak pisze „Rolnik", oparte na fizyologii organizmu ludzkiego, wykazały że mleko i produkty z niego wytwarzane są bardzo odżywcze i nader zdrowe. Prof. Miecznikow wynalazł w mleku ów upragniony eliksir, przedłużający życie i utrzymujący organizm w stanie zdrowia. Wiemy z życia praktycznego, że lud nasz zawdzięcza przedewszystkiem mleku siły fizyczne i odporność organizmu na wszelkie choroby, mimo że warunki hygieniczne, w jakich się znajduje, pozostawiają wiele do życzenia. Mieszkańcy miast zaś są w tem nieszczęśliwem położeniu, że skazani są prawie codziennie na spożywanie produktów nabiałowych, a przedewszystkiem mleka, które jest zanieczyszczone brudem, powstałym wskutek niestarannego obmycia i oczyszczenia wymienia krowy przed dojeniem. Skutkiem braku bezwzględnej czystości stajni, krowy, dojarki i t. p. jej rąk i odzieży, różnorodne, a często chorobotwórcze bakterye z wielką

*) Dla tych, którzy nie mają własnego domostwa, sporządzono w nowszym czasie piecyki ogrzewane spirytusem, w których sobie każdy sam może chleb razowy wypiekać. Cena piecyka 7,50 M.

łatwością dostają się do mleka i nieraz mleko takie jest rozsadnikiem ciężkich chorób, których powstanie stanowi często zagadkę. Na zdrowotność mleka wpływa także stan zdrowia krowy, jej wiek, oraz jakość paszy. Wskutek tych przyczyn pojawia się na targu mleko, które ma wady sprawiające, że nie nadaje się do spożycia lub do wyrobu masła, albo sera. Te wady mleka pochodzą bardzo często od chorobliwego stanu bydła lub od czynności bakteryi. Wady takie mogą pochodzić głównie:

1. z zaburzeń narządów trawienia lub innych chorób wogóle;
2. z choroby strzyków lub wymienia;
3. ze złej paszy i napoju;
4. ze złego obchodzenia z bydłem;
5. z pomieszczenia w brudnej i źle przewietrzanej stajni;
6. z wadliwej i niedbałej czynności z mlekiem.

Wobec tego widzimy, jak ważną i konieczną rzeczą jest ściśle i umiejętne badanie na targach miejskich produktów nabiałowych a zwłaszcza mleka. Przyczyną, dlaczego jednak tak mało na tem polu zrobiono, jest zupełny brak zainteresowania się ogółu tak ważnemi i żywotnemi sprawami.

Zarybianie małych stawów.

Odezwa Wydziału krajowego Towarzystwa rybackiego w Krakowie.

Na wiosnę 1910 roku udzielać będziemy zapomogi bezpłatne w narybku karpia dla zarybiania małych stawów włościańskich w Galicyi pod następującymi warunkami:

1) Zapomogę stanowi narybek karpia jednoroczny w naturze, a udzielać jej będziemy tylko natenczas, jeżeli powierzchnia stawu lub kilku stawów jednego właściciela nie przenosi obszaru dwóch morgów. Właściciele stawów, którzy w r. 1909 bezpłatnie narybek otrzymali, w r. 1910 narybku bezpłatnie otrzymać nie mogą, a na ich prośby, jeżeliby je wnieśli, odpowiadać nie będziemy.

2) Proszący o narybek obowiązanym jest przed wniesieniem do nas odnośnej prośby upatrzyć sobie gospodarstwo stawowe, z którego najbliżej i najłatwiej narybek otrzymać będzie mógł; zapewnić się, czy narybek na wiosnę 1910 r. będzie mógł nabyć i ułożyć się o cenę kupna, tudzież o czas i warunki odebrania narybku.

3) Mając te zapewnienia, proszący powinien wnieść do nas pismo (można i na karcie korespondencyjnej) i podać w niem daty ustalone według ustępu powyższego ad 2), dalej swoje imię i nazwisko, miejsce zamieszkania i pocztę, tudzież powierzchnię stawu lub stawów, dla których narybku żąda.

4) W razie uwzględnienia prośby zawiadomimy proszącego zaraz, a równocześnie prześlemy cenę kupna za narybek przekazem pocztowym odnośnemu właścicielowi gospodarstwa stawowego, u którego proszący narybek zamówił lub zakupił.

5) Otrzymawszy zawiadomienie, proszący obowiązanym jest zglosić się po narybek czy to osobiście, czy przez wysłańca, do właściciela gospodarstwa stawowego, u którego narybek zamówił, okazać otrzymane od nas zawiadomienie i narybek odebrać lub się też z właścicielem gospodarstwa stawowego co do przesyłki ułożyć. Koszta odebrania, przewozu lub przesyłki narybku ponosi proszący.

6) Na jedną morgę stawu przeznaczać będziemy pięć kóp czyli 300 sztuk narybku.

7) Cena kupna jednej kopy jednorocznego narybku nie może być większą, niż 7 kor.

8) Obdarowany narybkiem obowiązanym jest zawiadomić nas w czasie właściwym o zarybieniu swego stawu lub stawów, o korzyści, jaką z zarybienia osiągnął, tudzież o przyroście ryb, jaki się przy odłowieniu okaże.

9) Prośby o narybek należy nadesłać najpóźniej do 30 kwietnia 1910. Późniejsze prośby nie będą uwzględnione.

*
* *

Właścicieli małych stawów zapraszamy, aby się na członków Towarzystwa rybackiego wpisywali. Za drobną wkładkę 4 kor. otrzymają okólniki rybackie, z których nabędą wiadomości ze wszystkich dziedzin rybactwa i zwiększą wiedzę swoją w tej ważnej gałęzi gospodarstwa rolnego.

Kraków, ul. Mikołajska l. 2, w styczniu 910 r.

Wydział krajowego Towarzystwa rybackiego.

Redaktor:
Dr. F. Wilkosz.
Kraków -- Mały Rynek.

Chude mleko przy wychowie koni. Jeżeli klacze czy to wskutek choroby wymienia, czy z innego powodu, nie mogą wykarmić źrebiąt swojem mlekiem, wówczas nie pozostaje nic innego, jak uciec się do mleka krowiego, co daje prawie zawsze dobry skład, gdyż źrebięta wychowane na mleku krowiem nie pozostają w rozwoju zbyt w tyle za innemi źrebiętami. Zrobiwszy to spostrzeżenie, zaczęto dawać także już odłączonym od matek źrebiętom mleko krowie, w tym przypadku jednak mleko chude (odtłuszczone) i tym sposobem osiągnięto również dobre rezultaty. Jednoroczne i dwuletnie źrebięta zazwyczaj piją chętnie dobre, słodkie mleko chude, które pobudza apetyt i działa dobrze na ogólny stan zdrowia, co widać po wesołości źrebiąt i błyszczącym włosie.

Nie można się też temu dziwić, gdyż mleko zawiera wszystkie składniki potrzebne do budowy ciała, zwłaszcza wapno i kwas fosforowy. Tłuszczu dostarcza się źrebięciu w dostatecznej ilości w owsie; natomiast koń nie może nigdy dostać za dużo tych składników, które są potrzebne do wytworzenia silnych kości.

Zrzucanie cieląt u krów. W pismach rolniczych nieraz umieszczane jest pytanie, czy i jakie są środki przeciwko zarazie zrzucania cieląt u krów. Na takie pytania nadchodziły rozmaite przepisy i recepty. Chciałbym Sz. Czytelnikom przypomnieć, że nie zawsze jest zaraza powodem zrzucania cieląt u krów; są różne powody. Niektóre przytaczam:

Po największej części powodem jest zły człowiek, który bydło obsługuje i którego też trudno wyłapać, bo w obecności rolnika jest dobrym; po za okiem pańskiem katuje i morduje bydło czem może. Pastuch rozdający karmę, z kijem w ręku odpędza krowy, aby mieć łatwy przystęp do żłobów. Uderza je po pysku. Dziewki wyrzucając obornik uderzają krowy widłami, dojąc krowy uderzają stołkami, zamiast wolno krowę ręką posunąć. Wypędzanie krów na okolnik lub do wody gromadą także jest powodem zrzucania. Wypędzanie krów na pastwiska w dnie deszczowe, zimne, może być powodem zrzucania, następnie zadawanie krowom cielnym gorącej brahy, nadpsutych buraków i stęchniętej paszy jest także powodem zrzucania.

Kończąc, radzę, aby krowy cielne zawsze odstawiać osobno i do obsługi przydzielić uczciwą i sumienną służbę.

Przewóz żywych ryb. Dla transportu ryb żywych potrzeba, aby naczynia, w których się ryby przewozi, miały kształt owalny, albo żeby miały przynajmniej owalne dno, gdyż taka forma naczyń ułatwia ruch wody znajdującej się w naczyniach. Ciągłe zaś poruszanie się wody w naczyniach służących do transportu ryb jest dlatego konieczne, że ryby bardzo szybko zużywają tlen w wodzie zawarty i musiałyby się udusić, gdyby w skutek ruchu samych naczyń nie poruszała się także zawarta w nich woda i w ten sposób tlen z powietrza nie dostawał się do wody.

W stojącem spokojnie naczyniu transportowem o pojemności mniej więcej 150 litrów wody może być przez 6 godzin tylko 3–4 sztuk karpi wagi 4—5 funtów. Przy obecnych taryfach przewozowych za sześciogodzinny przewóz musiałoby być wpakowane do takiego naczynia 50 — 75 funtów karpi, jeżeliby przewóz miał się opłacić. Takiej ilości ryb przy braku ruchu

wody w ciągu pół godziny musiałoby zabraknąć powietrza do oddychania, a w ciągu godziny ryby musiałyby zginąć.

Rozpoznawanie jaj wylęgowych. Wiadomo każdej gosposi, że nie wszystkie jaja dają przy wylęgu równocześnie młode. Nieraz zostanie jeszcze kilka lub kilkanaście jaj pod kwoką, a tu zdałoby się, by matka mogła już drób wodzić. Trzeba się zatem przekonać, ile jaj pozostałych ma żywe kurczątka, czy gęsiątka w sobie, a w ilu niema nic, lub trupy niedokształconych noworodków. Czyni się to, biorąc małe naczynie z letnią wodą i wkładając każde jajo z osobna do wody, której musi być tyle, by jajo mogło swobodnie pływać. Jeśli po uspokojeniu się wody jajo się w niej porusza, to znak, że młode w niem żyje; w przeciwnym razie albo w jaju nic niema, albo też jeno trup. Sposób ten wypróbowano dla gęsi i kaczek — choć prawdopodobnie dobry on będzie i dla kur. Korzyścią takiej próby rozpoznawczej jest to, że jeśli wszystkie jaja są złe, to można kwokę zaraz zsadzić, a jeśli dobrych jest niewiele, to dajemy je drugiej kwoce, uwolniwszy dawną z kosza.

O zmaślaniu śmietany. Jeżeli śmietana nie chce się zmaślać, to przyczyną tego nie jest najczęściej sama śmietana, lecz albo za nizka temperatura, albo zbytnie napelnienie maślnicy, albo jedno i drugie równocześnie. Znanem jest powszechnie, że śmietana źle się zmaśla, jeżeli jej temperatura jest za nizka. Zimą każda maślnica powinna być napelniona więcej, jak do połowy, a śmietana powinna mieć w zimie temperaturę do 16°C., stosownie zresztą do temperatury lokalu, w którym robi się masło. Ogrzać śmietanę można przez wstawienie naczynia ze śmietaną do ciepłej wody. Zamaślanie powinno wogóle trwać 35—40 minut przy 40 obrotach korby na minutę. Jeżeli zrobiono masło już w ciągu 20 minut, wówczas z znacznego podniesienia się temperatury cierpi na tem jakość masła i zmniejsza się jego ilość.

Pranie flaneli. Pranie flaneli powinno odbywać się osobno, nie zaś razem z bielizną, jak to czynią zazwyczaj nieumiejętne służące.

Rozgotowawszy w wodzie potrzebną ilość białego mydła, wsypać do mydlin sody oczyszczonej (dwuwęglanu) w stosunku 10 łutów na garniec wody i dać się rozpuścić. Gdy roztwór przestygnie tak, że stanie się letnim, wlać połowę do balii i zamoczyć w nim wszystką flanelę, przeznaczoną do prania; niech to poleży kwadrans. Po upływie tego czasu odlać brudne mydliny, lekko naciskając ręką tkaninę, poczem brać każdą sztukę z osobna i położywszy ją na desce lub na stole, czyścić szczotką wlosianą czystą, maczając ją od czasu do czasu w czystych mydlinach.

Przedmioty bardzo zabrukane zamoczyć należy powtórnie i czyścić szczotką po raz drugi. Wyczyszczone naciskać lekko dłońmi, nigdy zaś nie trzeć w ręku i nie wykręcać. Gdy woda ściekająca okaże się czystą, płukać w zimnej wodzie z farbką, jeżeli pierzemy białą flanelę; do kolorowej, zwłaszcza do ponsowej, nie należy jej używać.

Po wyciśnięciu z wody powiesić do wysuszenia, pamiętając o tem, że flaneli nie można suszyć na słońcu lub przy piecu, ani też na wietrze. Najlepiej uskuteczniac to w miejscu zacienionem i zacisznem.

WARZYWA JADANE JAKO SAŁATA.

Przednowek jest ciężkim czasem. Wyczerpały się zapasy z zimy, gospodarz przyciąga pasa, zmniejsza dawki, a mimo to widmo głodu zagląda przez szpary do wnętrza domostw, gdyż jeszcze daleko do nowego. Głodowi towarzyszą różne choroby np. tyfus głodowy pożerający rocznie tysiące ludzi i inne. Narzekają ludziska na ciężkie czasy, a tu przynajmniej dał nam Pan Bóg wiele roślin, które już od najcześniejszej

wiosny mogą służyć łatwo jako karma wyborna i uchronić nas od nędzy głodowej. Trzebaby się jeno z niemi zapoznać, spróbować uprawiać i nauczyć się je przyprawiać i jadać.

Ponieważ nie każdy ma czas obszerne rozprawy o tem czytać, podamy w krótkości opis najważniejszych t. zw. sałat, które pierwsze dostarczają najwcześniejszego warzywa.

Łoczyga uprawna (Lactuca sativa — Salat) należy do t. zw. złożonych, w ogrodnictwie ma pospolicie nawę sałata.

Odróżniamy następujące rodzaje tej rośliny, które rozpadają się znów na wielorakie odmiany:

a) Ł. głowiasta lub główkowa (Kopfsalat). Tworzy główki rozmaitej wielkości (wielko- i małogłówki) dostarczające nader smacznego warzywa. Oddalenie roślin wynosi 30 cm. Na wczesną uprawę nadają się małogłówki, jako szybkorosnące.

Największe głowy posiada odmiana australska zwana lublańską (Laibacher), jest ona odporną na posuchy.

b) Ł. rozpierzchła (Schnitt oder Stechsalat). Zużytkowuje się ją, skoro wytworzy około 6 listków długich na 10 cm. Oddalenie roślin 15—20 cm.

Nie jest to właściwie żadna odmiana osobna, gdyż każdą głowiastą można hodować jako rozpierzchłą.

c) Ł. liściasta (Pflücksalat) wyrasta w pęd dochodzący do 60 cm, okryty gęsto liśćmi, które po zerwaniu (osmyknięciu) zużywa się na sałatę. Jest mniej smaczną od a).

Łodygi (głąbie) służą na paszę dla zwierząt. Sadzi się w odstępie 30 cm.

d) Ł. wiązkowa (Sommer Endivien Binde, oder römischer Salat). Tworzy dość wysoką wiązkę liści; luźne wiązki podwiązuje się nicią, by się kupy trzymały i wewnątrz wybielały. Bardzo smaczne warzywo.

Oddalenie międzyrzędowe 30 cm, na rzędach 15—20 cm.

e) Ł. głąbikowa (Spargelsalat, Lactuca angustana). Wytwarza pędy, które się zrzyna przed zakwitnieniem, oskrobuje z kory i przyrządza jak szparagi.

Wysiewa się ją od maja dopiero, w przeciwnym razie łatwo wystrzela.

Na użytek zimowy przesadza się później posianą wraz z bryłą ziemi do piwnicy, gdzie dorośnie.

Prócz nazw polskich podaliśmy i niemieckie, a to z tego powodu, gdyż nasi ogrodnicy chętnie posługują się obcymi wyrazami, zwłaszcza niemieckimi, a powtóre używa się u nas podręczników i cenników niemieckich.

Między roślinami dostarczającemi liści jadalnych, pierwsze miejsce przypada bezsprzecznie łoczydze głowiastej, zaś inne odmiany jadamy w braku tejże. Od dobrej główki wymagamy, aby była duża, zbita (twarda), zwarta, o liściach cienkich, słabo unerwionych i nie zbyt szybko wystrzelała.

Przy uprawie trzeba baczyć, by od najwcześniejszej wiosny aż do zimy mieć wciąż świeżą sałatę, ponieważ od chwili ucięcia pierwszej główki aż do wystrzelania upływa około 14 dni; a sałata zależnie od gatunku wyrasta w ciągu 4—8 tygodni, należy przeto uskuteczniać nowy wysiew co 2—4 tygodni.

Z powodu szybkiego rozwoju nadają się na śród i międzyplony, jakoteż do obsadzania brzegów grzęd, a tem samem do lepszego i korzystniejszego wyzyskania ogrodu.

Zazwyczaj nie dajemy świeżego obornika pod sałaty, natomiast przegniły dany pod zimę lub kompost dobrze jej zrobią.

Pierwszy wysiew uskutecznia się wcześnie (luty, początek marca) do rozsadnika oknowego (inspektu), lub paczki, umieszczonej w izbie, późniejszy idzie wprost do gruntu. Rozsadę przesadza się, gdy dostanie 3—5 listków, w odstępach, podanych przy każdym rodzaju. Przy przesadzaniu baczyć trzeba, by roślinki nie sadzić zbyt głęboko i by ich nie poprószyć ziemią.

Starania posiewne ograniczają się na pielenie, okopywanie i nader pilne podlewanie.

Na nasienniki pozostawia się najlepiej rozwinięte osobniki, które jeszcze dla wszelkiej pewności podpieramy palikami. Skoro tylko część nasion dojrzeje, zrywa się (zrzyna) pędy, i pozostawia do zupełnego dojrzenia w zacisznem miejscu.

Odmiany nasienne trzeba sadzić zdala od siebie, by się nie pokrzyżowały.

Uprawa zimowa z pomocą desek i nakrycia słomą w ostre zimy niepewna.

Z roślin jadalnych na sposób sałaty, zasługują na uwagę:

1. Podróżnik endywia (Cichorium endivia).

Wysiewa się w czerwcu lub nawet w lipcu, rozsadę przesadza się w odstępach 30 cm na glebę zasobną lub świeżo nawiezioną. Jada się liście bielone (blichowane),

Nasienniki przechowuje się przez zimę i z wiosnę wysadza.

2. Podróżnik cykorya (C. intybus).

Pospolicie używa się jako surogat kawy. Na warzywo sieje się na wiosnę lub w czerwcu wprost na grzędy znawożone w odstępach 30—45 cm i przerywa. W lecie ścinamy liście, nakrywamy nawozem słomiastym i t. p., a odrosłe liście spotrzebowuje się jako sałatę. Na użytek zimowy przesadzamy wydobyte w jesieni korzenie, by puściły smaczne młode listki.

Na nasienniki wybiera się najdorodniejsze korzenie i przechowuje w piwnicy w piasku lub zadołowane w ogrodzie.

3. Mniszek (Taraxacum off.).

Pospolity ten uprzykrzony chwast o żółtem kwieciu dostarcza sałaty o smaku gorzkawym bardzo wcześnie na wiosnę.

Wysiewa się go (obecnie mamy w handlu odmiany uszlachetnione) na wiosnę wprost na grzędy, rozsadę przesadza na 30—40 cm i zużywa w jesieni liście wyrosłe. Na zimę nakrywa się deskami i słomą, liściem, doniczkami i t. p., by przy pomocy osłony otrzymać wcześniej liście.

W 1 g naliczymy ponad 1.000 nasionek.

4. Rzerzucha (Lepidium sativum).

Rośnie bardzo raźno i prędko kiełkuje. Gdy roślinki podrosną na 6 cm, zrzyna się je i zużywa na sałatę. Odrosłe nowe pędy służą jeszcze raz do tego samego celu. W lecie, by nie powystrzelały za szybko w kwiecie, sieje się na cienistych miejscach. Używa się jej także jako przyprawy, do ubierania potraw.

Na sałatę wysiewa się co trzy tygodnie. Siła kiełkowania trwa 5 lat, 1 g ma 450 nasion.

5. Rukiew ziemnowodna (Nasturcium off.).

Można ją uprawiać, gdzie mamy w ogrodzie wodę. Rozmnaża się z nasienia, kłączy, wypustek korzeniowych.

6. Roszpunka (Valerianella olitoria).

Pospolita u nas roślina. Wysiewa się ją w sierpniu a nawet we wrześniu. Wyrosłe różyczki liściowe zużywa się już w jesieni, pozostawiając słabsze do użytku wiosennego. Część roślinek najsilniejszych pozostawia się na nasienie.

Siła kiełkowania trwa 5 lat (starsze nasienie lepsze od rocznego) 1 g ma 1000 nasion.

7. Dzwonki jednostronne, rapunkuł (Campanula rapunculus).

Drobniuteńkie nasienie (1 g ma ich ze 20.000) wysiewa się na wiosnę, a liście zużywa w jesieni lub na wiosnę.

8. Krwiściąg (Sanguisorba minor)

Roślina trwała. Wysiewa się na wiosnę w odstępach 20—30 cm. Młode liście o smaku ogórkowatym służą jako przyprawa do sałat i na sosy.

9. Kurze nóżki (Portulaca oleracea).

Grube liście tej jednorocznej rośliny zużywa się na sałatę, zupy i jako środek przeciwszkorbutowy. Wysiewa się wprost na grzędy z wczesną wiosną.

Krosno, 4/XI 1909.

Prof. F. Dąbrowski.

ROZMAITOŚCI.

Obchód grunwaldzki w Krakowie. Dzień 15 lipca, jako pięćsetna rocznica bitwy pod Grunwaldem, ogłoszony będzie za święto narodowe w całej Polsce. — W tym też dniu (piątek) skupią się główne punkta programu powszechnego obchodu w Krakowie, a mianowicie:

1) nabożeństwo dziękczynne w kościele N. P. Maryi;

2) odsłonięcie pomnika Wł. Jagiełły na Placu Matejki;

3) wręczenie zarządowi T. S. L. „daru grunwaldzkiego" na szkoły kresowe;

4) otwarcie wystawy zabytków z epoki jagiellońskiej;

5) wiece ludowe i odczyty na temat pamiętnego dnia w dziejach Polski;

6) teatry i zabawy ludowe;

7) powszechna iluminacya miasta.

Dalszy ciąg uroczystości odbywać się będzie przez dwa dni następne 16 i 17 lipca, t. j. w sobotę i niedzielę, łącznie z grunwaldzkim zlotem Sokolstwa polskiego. — Najgłówniejszym punktem uroczystości w tych dwóch dniach ma być olbrzymi pochód z Błoń na Wawel. Mianowicie w niedzielę 17 lipca odbędzie się przed południem msza polowa na Błoniach, w obecności wszystkich zastępów Sokolstwa, reprezentacyi wszystkich sfer społecznych, stanów i zawodów z całej Polski. Po tem nabożeństwie ruszy pochód z udziałem Sokolstwa i wszystkich reprezentacyj, prawdopodobnie przez ulicę Wolską, Podwale, Dunajewskiego i Basztową pod pomnik Jagiełły i ulicą Floryańską, Rynkiem i Grodzką na Wawel.

W pochodzie tym niesione będą wykonać się mające podobizny 50 kilku sztandarów, zdobytych w bitwie pod Grunwaldem na Zakonie krzyżackim i zawieszonych przez zwycięskiego króla w katedrze wawelskiej. (Niestety, sztandary te, których dokładne rysunki zostały przez Długosza przekazane potomności, znikły z biegiem czasu z katedry wawelskiej).

Niezależnie od tego programu projektowane jest urządzenie wystawy zabytków historycznych z epoki Jagiellońskiej, wybicie medalu pamiątkowego, zakupno broszur o zwycięstwie grunwaldzkiem i podobizny obrazu J. Matejki i t. p.

W pełnym komitecie obywatelskim, oprócz powołanych już dotychczas do niego członków, zasiąść mają także posłowie polscy, przedstawiciele miast i powiatów, ludu rolniczego i robotniczego i t. p.

Kometa. Niecodzienny gość zawitał do nas w tym roku — kometa się pokazał na niebie 16 stycznia. Przez dni kilka był widzialnym zaraz po zachodzie słońca tuż obok gwiazdy Wenery w zachodniej stronie nieba. Zabawił u nas jeszcze przez parę dni lutego, przez zapusty, pokazując się coraz później wieczór, aż wreszcie, napędziwszy strachu bojaźliwym, zniknął w przestworzu, by znowu kiedyś, kiedyś, po długich latach zawitać w nasze strony.

Trzeba mu oddać pochwałę, że ładny i wspaniały. O tyle różny od swoich kolegów, że ma ogon zadarty do góry.

Czem są komety, z czego się składają i jaka ich natura, nie wiemy. Jedni mówią że to gaz świetlny, inni, że tylko ogon komety jest materyą świetlaną, a sam zaś rdzeń, czyli głowa komety składa się z ciał stałych, z minerałów i kamieni, wszystko to jednak tylko domysły. Dosyć, że komety pokazują się na niebie od czasu do czasu, jedne co lat kilkadziesiąt, inne raz na setki, to raz na wiele tysięcy lat.

Nic więc dziwnego, że pojawienie się tak niestałego gościa, wywołuje u ludzi bojaźliwych, nieoświeconych, przeróżne domysły, wróżby, przestrach. Najniebezpieczniejszy — powiadają — to ten ogon komety, bo jak się spodoba komecie „machnąć" nim, to po nas i po naszej ziemi, koniec świata.

Uczeni mówią jednak, że ogon komet wcale nie straszny. Niektóre komety przeszły naszą ziemię swoim ogonem, a jednak nic nam się nie stało ani naszej ziemi. Ten ogon to jakiś gaz świetlny, więc nie może ziemi wyrządzić żadnej krzywdy. Pewien uczony twierdzi, że nawet tyle szkody nie może ogon komety wyrządzić ziemi, choćby ją dotknął, ile jaskółka pociągowi, gdy w locie w niego uderzy.

Co innego, gdyby się komecie spodobało głową swoją oddać pokłon naszej ziemi, to wtedy kto wie, czyby ziemia wytrzymała ten ukłon. Jeżeli bowiem rdzeń komety składa się z ciał stałych, z kamieni czy minerałów, to niebardzo byłoby nam zdrowo, gdyby się ziemia nasza spotkała z nimi. Podobnoś rdzeń niektórych komet ma mieć takie „kamyki", że jeden wynosi 100 kilometrów długości. Gdyby więc spadł tylko odłamek takiego kamyka, to mielibyśmy już dosyć. „Kamyk" jednokilometrowy gdyby spadł z komety do morza, wywołałby potop na całej ziemi. Jednakże to nie nastąpi bo komety nie zniżają się wcale do ziemi tak blisko, aby się z nią miała zetknąć. Według licznych badań najbliższa odległość komety od ziemi wynosiła dotychczas „tylko" 23 miliony kilometrów. Jest to więc odległość taka, że możemy spać spokojnie, żadna kometa nie zrobi nam krzywdy.

W tym roku w maju ma się jeszcze pojawić inny kometa, nazwany od swego odkrywcy kometą Halleya. U nas będzie także widzialny. Bać się również nie trzeba.

Paryż pod wodą. Francya była dotknięta klęską powodzi. Cała prawie północno-zachodnia część kraju i niektóre niżej położone dzielnice Paryża stoją pod wodą. Wzdłuż rzeki Sekwany i jej dopływów potworzyły się olbrzymie jeziora, z których sterczą szczyty wspaniałych budowli, pałaców, kościołów, gmachów i drzew. Tak wielkiej i groźnej powodzi nie było jeszcze we Francyi. Najstarsi Paryżanie nie widzieli tyle wody na ulicach miasta.

Katastrofę spowodował gwałtowny wylew rzek, a bezpośrednią przyczyną tego spadłe niedawno wielkie śniegi i ulewne deszcze. Pod wpływem ciepła olbrzymie masy śniegu szybko stajały, a woda, spływająca tak obficie do kanałów i rzek, sprowadziła nieuchronną klęskę powodzi.

Najwięcej ucierpiały okolice położone nad rzeką Sekwaną, która przepływa Paryż. Stan wody w tej rzece wynosi zwykle około 2 metry. W porze wiosennej wzrasta do półrzecia metra najwyżej. W tych dniach zaś podniosła się woda w korycie ponad 9 metrów, a więc zawartość rzeki potroiła się. Ten olbrzymi wzrost wody w Sekwanie dał się najdotkliwiej we znaki stolicy Francyi. Paryżowi. Miasto to, liczące 3 miliony mieszkańców, jest najbardziej podrytem miastem na świecie. Stoi na tak zwanych katakombach, to jest dawnych kamieniołomach, z których czerpano materjał budowlany.

W roku 1876 dotknięty był Paryż równie wielką powodzią, ale tamta nie była dla miasta tak groźną jak obecna. Wtenczas Paryż nie był jeszcze tak podkopany, ani nie posiadał takiej ilości kanałów podziemnych, co dzisiaj, głównie wskutek pobudowania podziemnej kolei miejskiej, tudzież innych linij kolejowych.

Na przedmieściach z wielu domów widać było tylko dachy, wystające z pod wody. W sławnej katedrze poświęconej czci Bogarodzicy, zwanej „Notr Dam", woda stała na 1 metr wysoko. Podobnie w wielu innych kościołach. Większą część fabryk musiano zamknąć. Około 150 tysięcy robotników w samym Paryżu zostało bez pracy. O zabawach i tańcach mowy nie było. Teatry zamknięte. Na ręce prezydenta Francyi napływają datki na zapomogi dla ofiar powodzi. Królowie i książęta spieszą z wyrazami współczucia dla Francyi.

Strajk szkolny. W Morawskiej Ostrawie wybuchł w polskiej szkole strajk szkolny.

Przyczyną strajku była bezwzględność czeskiego Wydziału gminnego w Polskiej Ostra-

wie wobec potrzeb szkolnych tamtejszej polskiej ludności. Dla 12.000 Polaków w tej miejscowości nie wstawiono w budżecie gminnym ani halerza! Za to 690 Niemców ma dwie publiczne szkoły niemieckie sześcioklasowe, które kosztują rocznie 26.883 K — nadto otrzymują na trzecią prywatną szkołę niemiecką subwencyę w kwocie 3.800 K Szkoły te — to zakłady germanizacyjne, w których psują setki dzieci polskich i czeskich. Około 8.000 Czechów ma 13 szkół, których utrzymanie kosztuje rocznie 226.366 K. W roku przeszłym Wydział czeski uchwalił 800 K subwencyi na szkołę polską — co Polacy odrzucili jako upokarzającą jałmużnę. Rodzice polscy wysyłali kilkanaście deputacyi do gminy, Rady szkolnej okręgowej i krajowej, daremnie! Nie pomogły też prośby, rezolucye, memoryały. Zagrożono więc strajkiem szkolnym, który w ostatniej chwili zażegnał reprezentant rządu przyrzeczeniem publicznej szkoły z rokiem szkolnym 1909. Upłynęło jednak już 5 miesięcy a niema nic, niema nawet nadziei dostania takiej polskiej szkoły. Macierz szkolna cieszyńska, utrzymująca już szósty rok szkołę prywatną, wydała na nią do dziś przeszło 120.000 K.

Rodzice polscy, uważając dalsze korzystanie z ofiarności Macierzy za zbytnie obciążanie tej instytucyi, tem więcej, że 12.000 Polaków, żyjąc w gminie, płaci w niej podatki i ma wszelkie ustawowe prawa do szkoły publicznej, gdy przytem żadne prośby nie odniosły skutku, ni też zapewnienia rządu się nie spełniły — postanowili chwycić się ostatecznego, rozpaczliwego kroku i dnia 16 stycznia na zgromadzeniu uchwalili jednogłośnie strajk szkolny. – I 17 stycznia, z 330 dzieci szkolnych przyszło tylko 11!

Sprostowanie.

W numerze 12. „Przodownicy" z grudnia 1909. roku, w artykule: „Polska i jej granice" zaszły dwie omyłki drukarskie, a mianowicie: na str. 221., w drugiej kolumnie, wiersz drugi od dołu, zamiast;

Falwosza, czytaj: Talwosza,

na stronie 222., w pierwszej kolumnie wiersz 15. od góry, zamiast:

Anuwał, czytaj: Amurat.

Od Redakcyi.

Dopiero w lutym rozstrzygła się sprawa wydawania dalszego „Przodownicy", dlatego pierwszy numer (styczniowy) b. r. wydajemy z numerem na luty. Przepraszając wszystkie prenumeratorki i prenumeratorów — za to opóźnienie — polecamy pamięci i względom „Przodownicę", prosząc o rychłe zapłacenie prenumeraty i jednanie nam zwolenniczek zwolenników, prenumeratorek i prenumeratorów.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. – Druk A. Rippera, Kraków.

DODATEK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY

DO NR. 1 i 2 „PRZODOWNICY“ ZA STYCZEŃ I LUTY 1910 ROKU

Jeszcze Polska nie zginęła!

Obrazek sceniczny.

OSOBY:

Matka.
Zosia | jej dzieci.
Tadeusz | jej dzieci.
Janek | jej dzieci.
Mieczysław, przyjaciel.
Dziadek.
Karałakow, moskal.

Rzecz dzieje się na Litwie w czasie legionów (między rokiem 1806 a 1812).

Sztuka napisana dla dzieci z uwzględnieniem warunków prywatnej sceny. W pierwszej odsłonie młodzi są w długich surdutach, w drugiej w strojach legionistów. Wzory takich ubrań znajdą się w każdej illustrowanej historyi Polskiej.

ODSŁONA PIERWSZA.

Scena przedstawia zwykły mieszkalny pokój, skromnie umeblowany. Na prawo stolik z książkami, przyborami do pisania. Na lewo i wprost sceny drzwi. Obraz Matki Boskiej na ścianie, pod obrazem stoi szablica. Na lewo okno.

SCENA I.

Tadeusz i Miecio.

TADEUSZ (chodząc po pokoju).

Nie myśl, nie myśl, żem ja trwożny...
Lecz być muszę tak ostrożny
Nie wiesz tego, że na Litwie,
Jak wśród wrogów, jak w gonitwie,
Gdy na zwierza jest obława,
Tak o Polsce, gdy jest sprawa,
Gdy człek szepnie słowo z cicha...

MIECIO (nadsłuchując).

Zdaje mi się ktoś tam wzdycha.

TADEUSZ (spokojnie).

Mniejsza o to — słuchaj proszę...
Ten list oto jak skarb noszę...
List ten radość w sercu budzi

MIECIO.

A gdy Stach nas tylko łudzi...

TADEUSZ (staje i z chmurą pyta).

Stach by łudził? Stach by zwodził?
Wszystkich zawsze łączył, godził,
Wszystkich uczył żyć szlachetnie...
Czyżby teraz?... fe! to szpetnie
Podejrzeniem plamić, myślą...

MIECIO.

Niech wezwanie nam tu przyszle,
Niech nas wezwą do szeregu...
A nad Niemna staniem brzegu
I podniesiem broń do góry...

TADEUSZ (chwytając go za ramię).

Ciszej!... ciszej!... teraz mury
Słyszą, widzą... mówię tobie
Milczeć musisz!... Jakby w grobie
Niech ukryje się wieść nowa,
Druh ostrożność niech zachowa.

MIECIO (niby szepcąc).

A więc Stach tam już się zbiera?

TADEUSZ (radośnie).

Prawda święta, prawda szczera...
Pan Kniaziewicz go prowadzi;

Wuj, jenerał... dobrze radzi...
Oficerów ma czterdziestu...
A żołnierzy przeszło dwiestu...

MIECIO.

Co tu robić? co tu radzić?

TADEUSZ.

Tajemnicy tej nie zdradzić...
Najpierw jeszcze wszystkich badać
Nic — nikomu — nie rozgadać...
Ja ze Stachem się obaczę...
Potem już ci wytłumaczę...

MIECIO (żywo).

Ach! mój drogi... błagam ciebie...

TADEUSZ (patrząc w okno).

Spojrzyj jeno... tam — przed siebie...

MIECIO.

Nic nie widzę, co takiego?

TADEUSZ.

Co? nie widzisz dziada tego?

MIECIO.

Prawda! prawda! starowina
Ledwie idzie...

TADEUSZ.

ta dziewczyna
Go wstrzymuje... hej!... (głośno woła) Marcinie!
Pomóż przyjść tu starowinie...

MIECIO.

Przyprowadzę sam tu jego...
(Wychodzi).

SCENA II.

TADEUSZ (sam).

O! gdyby kto wejrzał w głąb serca mego...
Jakążby walkę ujrzał tajemną...
Nie wiem o! nie wiem, co będzie ze mną...

SCENA III.

Tadeusz, Miecio, dziadek.

MIECIO (prowadząc dziadka).

Chodźcie, usiądźcie... spoczniecie chwile.

DZIADEK.

Dziękuję tobie, dziękuję mile...

TADEUSZ (pomagając).

Zdala idziecie?...

DZIADEK (siadając).

Bardzo zdaleka...
Ciężka to droga...

MIECIO.

Starego człeka
Wszystko umęczy... spocznijcie z nami...
Umiecie bawić swymi pieśniami...

SCENA IV.

Ciż i wbiega Zosia.

ZOSIA.

O! jak się macie... prosić was chciałam...
Co?... gościa macie?... a! nie wiedziałam...

TADEUSZ.

Zdaleka idzie, spocząć mu trzeba...

ZOSIA.

Pójdę, przyniosę mleka i chleba...
Niechże spoczywa starzec ubogi.

TADEUSZ.

Skądże idziecie? z dalekiej drogi?

DZIADEK (oglądając się dookoła).

O! moja droga — nieprzymierzona...
Ścieżka ciernista... łzami skropiona...

ZOSIA (z smutkiem).

Tacyście smutni... tacyście biedni?...
Skądże idziecie? co wy za jedni?

TADEUSZ.

Wędrowny śpiewak, spocząć mu trzeba...

ZOSIA.

Przyniosę mleka, przyniosę chleba...
(Wychodzi, w drzwiach spotyka się z Jankiem).

SCENA V.

Ciż i Janek.

(Janek musi być najmniejszy wzrostem a bardzo czupurny i śmiały).

JANEK

wpada z gwizdem, w ręku ma łuk, w drugiej ręce ma czapkę moskiewską, trzyma obie ręce do góry, wpada z gwizdaniem i zaczyna tańczyć prysiudy, wołając raz po raz:

Hu! ha! hu! ha!

ZOSIA (uciekając przed nim).

Jezus! Marya!

MIECIO (cofając się przed nim).

Czyś oszalał?
Wszystkich byś nas porozwalał...

JANEK (staje i kręci się w około).

Hu! ha! hu! ha!

TADEUSZ (kładąc mu rękę na ramieniu).

Polowanie?
Udało się? Mości panie?

DZIADEK (podnosząc się, ciekawie przypatruje się).

Cóż za jakiś szałaputa?

TADEUSZ (do dziadka).

Ho! to sztuka tęgo kuta!

ZOSIA (śmiejąc się serdecznie).

Skąd ta czapka?... obrzydliwa!...

JANEK (kłaniając się do ziemi).

Tak siostruniu... tak szczęśliwa...
Tobie krosna, pieśni, kwiaty...
A nam... dłonie (wznosi ręce do góry)
i – sołdaty (z naciskiem to wymawia).

ZOSIA.

Zaczekamy – zobaczymy...
Co my Polki wywalczymy.
(Odchodzi).

SCENA VI.

Ci wszyscy, co poprzednio, bez Zosi.

TADEUSZ.

Powiedz prawdę, gdzie złowiłeś
Tego ptaka (biorąc czapkę moskiewską).

MIECIO.

Toż nas wszystkich ubawiłeś...

DZIADEK.

Na Moskala polowanie?
Dobrze! dobrze!... tak mój panie...
Na te żmije, te potwory
Trza polować...

TADEUSZ.

Niema pory
Dobrej na to – my by radzi...

DZIADEK (ostrożnie oglądając się, szepce)

A czy mnie tu kto nie zdradzi?

WSZYSCY.

U nas?... dziadku?...

TADEUSZ (poważnie bijąc się w piersi).

Wśród Litwinów
Jesteś gościem... w pośród synów
Tego ludu, co ma ducha
Nie w niewoli

MIECIO.

Kto z nas słucha
Ten nie zdradzi. – Mówcie śmiało.

JANEK.

Nie ciekawi jak się stało,
Żem Moskala upolował...

TADEUSZ.

Tybyś tylko wciąż żartował...

DZIADEK.

Niechże powie – posłuchamy...
Potem — my się rozgadamy.

SCENA VII.

Ci sami i Zosia (wnosi mleko i chleb).

ZOSIA.

Jedzcie i pijcie, mleko ochłodzi...

DZIADEK.

Nie brak tu, nie brak poczciwych ludzi.

JANEK (żywo).

Szedłem z łukiem — na jastrzębie,
Tędy za wieś, gdzie na zrębie
Są poziomki, są maliny...
Patrzę Moskal stroi miny,
Jakieś oczy — zalecanki
Do Hanusi Kowalanki,
Co w ogródku plewi grzędę.
Myślę sobie: — Ja nie będę
Robić długich korowodów,
Jesteś Moskal, dość dowodów,
By ci strzałą świsnąć w nos.
Mierz i strzelaj!... (udaje, iż mierzy z łuku)
(śmiejąc się) Taki los...
Na jastrzębia była strzała,
A z Moskalem się spotkała...

Moskal w bok... (udaje ruchy)
W lewo skok (skacze)
Uciekł w las!... cha! cha!
Każdy z nas
Tak polować mógłby śmiało,
Aż — Moskali by nie stało...

TADEUSZ.

Czapkę zabić — to nie sztuka!

MIECIO.

Dziecko — takich zabaw szuka.

JANEK (z gniewem).

Dziecko! proszę!... dzieciąteczko...
Może bawić się laleczką...

TADEUSZ (z ironią).

Dziecko tylko wyskakuje,
Kiedy — czapkę upoluje...

WSZYSCY.

Cha! cha! cha! cha!

JANEK (w złości).

Wielcy ludzie!...
Siedzą w domu — coś szeptają,
Niby to się naradzają...
Niby myślą coś wielkiego
A nie robią nic!... jednego
Wroga jeszcze nie zabili.
A tu — ze mnie... będą kpili... (gniewa się).

ZOSIA.

Rzućcie gniewy.. ot siadajmy...
Na piosenkę zaczekajmy...
Jak dziadunio się posili
O pieśń będziem go prosili.

(Wszyscy siadają albo jedni siedzą, inni stoją w malowniczej grupie).

DZIADEK (bardzo poważnie).

Chcecie pieśni?... W bolu — w męce
Opadają ze strun ręce,
Na obczyźnie — Polska żyje...
Zapał — męstwo w piersiach bije...
Żar tęsknoty oczy pali...
Myśl do kraju wraca z dali.
Tu by rada...
(zatrzymuje się, ogląda i nagle zupełnie innym tonem mówi)
panieneczko
Trochę wody... jaskółeczko
Posłuż proszę — staruszkowi...
Trochę wody daj dziadkowi...

ZOSIA (żywo).

Bardzo chętnie, wnet przyniosę...
(Odchodzi).

SCENA VIII.
Ci sami bez Zosi.

DZIADEK (wstaje, zaczyna mówić żywo i dziarsko).

Pan Dąbrowski do legionu
Na was czeka!... Z tych zagonów,
Z tych stron Litwy... hej! młodzieży...
Czy z was żaden nie pobieży?
Pan Kniaziewicz z Polski ruszył...
Bicia serca wróg nie zgłuszył...
Pan Rymkiewicz swych prowadzi...
Pan Godebski... wszyscy radzi
Do legionów spieszą... z wiarą...

TADEUSZ (z zapałem).

Więc to wszystko nie jest marą?
Więc to prawda?...

DZIADEK (z zapałem).

Młodzi! młodzi!...
Czy spoczywać wam się godzi?...
Czy tu bawić się możecie,
Gdy tam... w Włoszech... wy już wiecie...
Już Rymkiewicz i Wybicki,
I Wielhorski i Chłopicki...
Do legionów pospieszyli;
Będą walczyć, będą bili.
Bonaparte... z legionami...
Bonaparte z Polakami!

TADEUSZ (z odwagą).

Hej! człowiecze... hej! z ostrożna...
Nas tu zwodzić — ej! nie można...

DZIADEK (wskazując na pierś rozpiętą).

Oto patrzcie... krwawe blizny,
Ślady służby dla Ojczyzny...
Z pod Kościuszki żołnierz stary
Czyżby nie miał u was wiary?...
Tu papiery! (wyjmuje z zanadrza papiery).

TADEUSZ (patrząc).

Tak!... o Boże!... dzięki tobie!...
Nie zaginie Polska w grobie!

MIECIO.

Emisaryusz wzywa nas...
Pójdziem!... (z zapałem) pójdziem!... póki czas.

JANEK (przez cały czas stoi zasłuchany, zdziwiony).

Wszystko dobrze zrozumiałem –
Co trza czynić – już poznałem.

DZIADEK.

Od legionów pieśń spłynęła
„Jeszcze Polska nie zginęła!"

TADEUSZ.

W Medyolanie więc staniemy...

JANEK (żwawo).

Co trza czynić – rozumiemy...

DZIADEK.

Spieszcie żywo... oręż w dłoń...
Bracia w niebo wznieście skroń...

TADEUSZ (szepcząc).

Siostra wraca... pst!... spokojnie...

DZIADEK (siadając, niby kończy opowiadanie).

Bóg zapłaci wam to hojnie,
Żeście dziada posilili...
Teraz byśmy pieśń kończyli...
„Idzie żołnierz, borem, lasem..."

TADEUSZ (sam).

„Idzie żołnierz, borem, lasem..."

WSZYSCY.

borem – lasem...

TADEUSZ.

Przymierając z głodu czasem.

WSZYSCY.

z głodu czasem.

TADEUSZ.

Suknia na nim poblakuje,

WSZYSCY.

poblakuje,

TADEUSZ.

Wiatr dziurami przelatuje.

WSZYSCY.

przelatuje.

SCENA IX.

Zosia od początku pieśni stoi w drzwiach i z chórem śpiewa razem.

Ci sami i Zosia.

ZOSIA.

Oto woda, ale mama
Chora, smutna, jest tam sama
Mama chciałaby zapytać...
U nas gazet trudno czytać...

TADEUSZ.

Dobrze!... chora matka nasza
O nowiny się doprasza...
Pójdźmy razem...

Odchodzą, ale Janek zatrzymuje Tadeusza szepcząc.

SCENA X.

Janek i Tadeusz.

JANEK (z cicha).

Weź mnie z sobą...

TADEUSZ (udając).

O czem mówisz? czym nie z tobą?

JANEK (prosząc).

Do legionu, gdzie Chłopicki,
Gdzie Kniaziewicz, gdzie Wybicki...
Gdzie do boju nasi stają...

TADEUSZ (tuląc Janka).

Tamci broń i siły mają,
A ty dziecko, ty pachole...
Tobie jeszcze w cichym siole
Czapki strzelać — łukiem bawić...

JANEK (z płaczem).

Ty chcesz serce me zakrwawić!

TADEUSZ.

Serce krwawić — nie mów tego.
Muszę wstrzymać cię — małego...
A przy mamie kto zostanie?

JANEK.

Toż dopiero! to gadanie...
Czyż to Zosi niema w domu?...
Nie pociechaż to dla mamy?
Ona tutaj, a my mamy
Iść — zwyciężać...

TADEUSZ (wstrzymując go).

Ani słowa...
O czem była tutaj mowa...
Ani słowa... czy rozumiesz?

JANEK.

Ty przestrzegać dobrze umiesz,
Ale nie chcesz mnie brać z sobą...

TADEUSZ (niby zdziwiony).

Co? gdzie? dokąd?... co jest z tobą?...
Idźmy teraz, mama czeka...
(Odchodzi).

SCENA XI.

JANEK (sam).

Będę śledził go zdaleka,
Będę zważał... choć ja mały,
Lecz do wojny, aż drżę cały...
Gdy Dąbrowski na nas woła
Pójdę i ja z tego sioła...
(Wychodzi).

SCENA XII.

Tadeusz z Mieczysławem.

TADEUSZ (z cicha).

Ja nie zwlekam... nie! nie czekam...
Na nic więcej, dzisiaj w nocy...
Po za borem o północy,
Po nad Niemnem, koń zaczeka...
Droga dla mnie w świat — daleka...

MIECIO.

Wracam do nas – z ojcem szczerze
Pożegnam się — trzy pacierze
Na mogile matki złożę...
Potem na koń w Imię Boże!...

SCENA XIII.

Ci sami i Zosia.

ZOSIA.

Coś mówicie, coś szeptacie,
Gdzie to? gdzie to się zbieracie?

TADEUSZ.

Mówił Janek, dzikie kaczki
Są nad wodą...

MIECIO.

Tłuste raczki
Będziem łowić... dziś wieczorem.

TADEUSZ.

Tak, tak, raki, tam za borem...
(Odchodzą).

SCENA XIV.

ZOSIA (sama).

(Chwilę stoi zadumana, potem siada).

Ciągle coś szepcą, ciągle coś radzą
Jakieś tajemne mowy prowadzą...
Tadzio już dawno chodzi ponury...
A ten przyjaciel, ten Mieciek z góry...
Codzień przyjeżdża, tak zadumany,
A jak się wita, to jak do ściany
Bąknie coś z cicha... nie zażartuje
Ani nie śpiewa, ni pofigluje...
Na mnie to żaden spojrzeć nie raczy...
Wszystko jest teraz u nas inaczej...

SCENA XV.

(Wchodzi Janek zadumany.)

JANEK (do siebie).

Już wiem wszystko! dziś uciekam,
Mojej służby nie odwlekam.

ZOSIA.

Janku... powiedz, co się dzieje?

JANEK (do siebie).

A nim słonko się rozśmieje...
A nim ptaki zaśpiewają...

ZOSIA.

Janku!... słyszysz?...

JANEK (do siebie).

już pytają
Gdzie ten mały, figlarz psotny...
Gdzie do tańców ten ochotny?

ZOSIA (głośno).

Janku!... słyszysz?... czyś zaspany?...
Czyś ty głuchy?... mój kochany,
Powiedz o czem dziadek prawił,
On was smucił, nie zabawił...
Powiedz prawdę, co się stało?
Ja chcę wiedzieć prawdę całą...

JANEK.

Ja?... nic nie wiem... jestem mały
Do zabawek doskonały...
Czapki strzelam, pieśni nucę...
Ja was — nigdy... (po chwili) nie porzucę!

ZOSIA (patrząc przez okno).

Dziadek poszedł... widzę Tadzia
Mieczysława odprowadza...
Pewnie mama mnie zawoła...
Bądź zdrów Janku! Nie chmurz czoła!
(Wychodzi).

SCENA XVI.

JANEK (sam).

Teraz ja tę szablę w dłoń... (bierze szablę)
Bądźcie zdrowi! Ty mię chroń
Przenajświętsza (klęka przed obrazem)
Częstochowska...
Prowadź ty mię, Matko Boska!...
(Wychodzi na lewo).

SCENA XVII.

(Wchodzi Tadeusz).

TADEUSZ.

Nie! nie mogę!... pokryjomu
Nie odejdę z tego domu...
Nie odlecę jak to ptaszę,
Co porzuca strzechy nasze!...
Żegnaj chatko!... chato mała,
Coś mię w ciszy wychowała...
Żegnajcie świętych obrazy...
Strzegłyście wy mnie od skazy,
Żegnaj siostro... bracie mały...
Matko żegnaj!... O, bądź zdrowa...
Niech od cierpień Bóg cię chowa!...
Matko!... syn twój – kiedyś wróci...
I radosną pieśń zanuci...
(Wychodzi).

(Zasłona spada).

ODSŁONA DRUGA.

(Scena przedstawia ten sam pokój).

SCENA I.

(ZOSIA - MATKA (w czepeczku z pończochą w ręku, w okularach).

ZOSIA (przy krosnach lub kołowrotku).

A już na drzewach bazie puszczają,
A już pierwiosnki się rozkwitają,
A już skowronki nucą radośnie...
O szczęściu ludzi, o lubej wiośnie...

MATKA.

Tylko my smutni, tylko my biedni...
Tylko my płaczem wciąż sami jedni...

ZOSIA.

A mnie się zdaje, że z lubą wiosną
My usłyszymy piosnkę radosną,
Że jak te ptaki do gniazd wracają
Tak już i nasi tu pospieszają...
Obaczysz mamo... i nam wesoło
Będzie tu jeszcze... rozchmurzysz czoło...

MATKA.

O Tadzia jestem wciąż spokojniejsza
Dusza to była w nim szlachetniejsza
Ale ten Janek – ten szaławiła...
Co ja przez niego, co ja przeżyła...
Uciekł mi z domu... całkiem tajemnie
Szukać i pytać, wszystko daremnie
Jak kamień w wodę! ni słowa wieści...

ZOSIA (zbliżając się do matki).

Porzuć, mamusiu, łzy i boleści...

SCENA II.

Ci sami i Karałakow.

KARAŁAKOW.

No! jakże?... chcecie, by pan generał
Sam tu przychodził? krzyczał i gderał?
Gdzie wasze syny?... wy matka przecie,
O swoich orłach wy dobrze wiecie...

MATKA.

Nie wiem!... Bóg widzi z nieba.

KARAŁAKOW.

A to nam wiedzieć o nich potrzeba...
Car jest opiekun bardzo łaskawy

Nad mołojcami on ma rząd prawy...
Gdzie wasze syny? (ostro tupiąc)
mówcie! słyszycie?...

MATKA.

Niema ich mówię, niema — widzicie...

KARAŁAKOW (do Zosi).

Wy krasna Laszko, wiecie gdzie — pewno...
Rzeknijcie słówko – cudna królewno.

ZOSIA (odwracając się).

Pytaj się kruka — wysoko lata...
On ci nowinę powie ze świata...
O! kruk za żerem daleko leci...
Gdzieś Bonaparte zbiera swe dzieci...

KARAŁAKOW (ze strachem).

Co? Bonaparte?... (żegna się trzy razy)
Czort to prawdziwy...
Wy z Bonapartem?... (trzęsąc się)
Ja – nieszczęśliwy...
Kto Bonaparta imię wyrzecze
Ten już przed śmiercią (maca ręką) już
nie uciecze

ZOSIA.

Napoleona, o! my kochamy...
Portret przyniosę, jest tam u mamy...

KARAŁAKOW.

Nie trza! nie!... nie!... ja nie ciekawy
Nu! jakiż o synach jest koniec sprawy?
(do matki ostro)
Jakże myślicie?... dwieście dukatów
Dacie mi zaraz... niech 300 katów
Weźmie tą Litwę!...
(Słychać strzał).

KARAŁAKOW (padając na ziemię).

Co? Bonaparte?...

SCENA III.

(Wchodzi Tadeusz w stroju legionisty, daje rozkazy).

TADEUSZ.

Baczność! do koła zaciągnąć warty...
(Zwraca się do matki i salutuje).

MATKA (wyciągając ręce).

Czy to prawda?... Wielki Boże!...

ZOSIA.

Tadzio!... Jezus! Marya! czy być może?

KARAŁAKOW (chowa się za stół).

Czarty jego tu przyniosły...

TADEUSZ (dziarsko).

Oto jestem!... Mnie tu niosły
Jak na skrydłach — i tęsknota
I nadziei gwiazda złota...
Oto jestem!... Matko miła
Będziesz teraz się cieszyła...
(Klęka i całuje ją w rękę).

MATKA.

Tadeuszu!... więc legiony
Nie rozbite?...

ZOSIA.

Z jakiej strony
Dzionek jasny cię prowadzi...
Jakże dziś jesteśmy radzi!

KARAŁAKOW (za stołem).

Bodaj ciebie czartów trzysta...
Zabije mnie legionista!...

TADEUSZ (z zapałem).

Cieszcie się wszyscy!... „Kiedy z rozdzia-
[łem tajemnem
„Tu biegłem, wojsk forpoczty już
[stały nad Niemnem,
„Napoleon już zbiera armię ogromną,
„Jakiej człowiek nie widział i dzieje nie
[pomną,
„Obok Francuzów ciągnie polskie wojsko
[całe
„Nasz Józef, nasz Dąbrowski, nasze orły białe!
„Już są w drodze, Na pierwszy znak
[Napoleona
„Przejdą Niemen i matko, Ojczyzna
[wskrzeszona!"

MATKA.

„Błogosławione niech będą te usta, które
„To zwiastują!... wznieśmy dłonie w górę!...
„O Boże! bądź uwielbion!..."

Jadwiga z Łobzowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).